Nr 6
18. VIII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE





W STOLICY NORWEGII OSLO, MIĘDZY 15-18 SIERPNIA B.R. ROZEGRANE ZOSTANĄ PIERWSZE PO WOJNIE MISTRZOSTWA LEKKOATLETYCZNE EUROPY

O KAPITALE
postarzałym

Decyzja co do sposobu ulokowania kapitału opierać się zawsze musi na rozważaniu dwu przeciwstawnych sobie momentów: przewidywanych rozmiarów zysku i przewidywanej pewności lokaty. Z reguły ryzyko utracenia kapitału łączy się z perspektywą wielkiego zysku: inaczej nikt by owych ryzykowych lokat nie podejmował.

Ścisłe zważenie i obliczenie tych dwu niezależnych od siebie czynników: zyskowności i ryzyka, jest bardzo trudne. Decyzja wybrania lokaty o większym ryzyku i większej zyskowności — lub przeciwnie, o mniejszym ryzyku ale zato mniejszej rentowności — zależy w znacznej mierze od cech indywidualnych tego, kto o wyborze lokaty decyduje, od jego nastawienia psychicznego oraz od nastawień psychicznych jego środowiska. Tak rozumiane nastawienie psychiczne dysponentów kapitału prywatnego zmieniło się w przebiegu czasu. Raz dominowała psychika zachęcająca do lokat ryzykownych, ale dochodowych; kiedy indziej psychika rezygnacji z wielkich zysków, natomiast szukanie pewnej lokaty.

Wedle tego kryterium oceniając działalność dysponentów międzynarodowego kapitału finansowego, można wyodrębić dwa wyraźnie odcinające się od siebie okresy czasu, których granicą jest mniej więcej pierwsza wojna światowa. Przed tą wojną psychikę dysponentów kapitału cechowała wielka odwaga, chętne podejmowanie lokat ryzykownych, poszukiwanie przede wszystkim zysku, nie zaś bezpieczeństwa. Z odwagą łączyła się w sposób naturalny ekspansywność, a nawet zaborczość. Szukano, znajdywano i opanowywano nowe dziedziny pracy, nowe tereny. Nowe, a więc jeszcze nieznane, nie dające gwarancji, że podjęta inwestycja okaże się bezpieczna, natomiast zawierające perspektywę wielkich zysków. Ekspansywność kapitału łączyła się z jego ruchliwością w skali międzynarodowej. Łatwo przerzucał się on z kraju do kraju, sięgając również do terenów egzotycznych, o niepewnych warunkach. Podejmowano **wielkie dzieła,** których pomyślna realizacja powodowała zmianę oblicza gospodarczego danego kraju lub nawet wielkiej połaci świata. Czyniono to pomimo znacznego nawet ryzyka bankructwa i całkowitej utraty włożonego kapitału. Ilustracją tych tendencyj będzie historia kanału Sueskiego — przedsięwzięcia, które się udało, oraz kanału Panamskiego — przedsięwzięcia, które w pierwszej swej fazie zakończyło się krachem.

Odwaga, skłonność do ryzyka, ekspansywność, ruchliwość — są to cechy psychiczne właściwe młodości. Można więc powiedzieć, że do początku wieku XX-go kapitał międzynarodowy miał cechy psychiczne młodości. Kapitał o młodej psychice stworzył okres wielkich ryzyk, wielkich bankructw i wielkich dzieł. Był to może okres marnotrawstwa wysiłków i środków, ale zarazem okres wielkiej i intensywnej **twórczości.** W szczególności kapitał międzynarodowy był jednym z najważniejszych, a może najważniejszym motorem, stwarzającym gospodarstwo światowe, i jednocześnie klejem, łączącym to gospodarstwo w całość ograniczoną. Szukając najkorzystniejszych możliwości inwestycyjnych, gdziekolwiek by one były, przyczyniał się do rozwoju gospodarczego krajów zapóźnionych, był więc czynnikiem, niwelującym poziom gospodarczy poszczególnych krajów, upowszechniającym dobrobyt i wydajność pracy. W ślad za penetracją kapitału szedł prąd ludzi i towarów. Rozszerzała się i umacniała współzależność gospodarcza wszystkich cząstek gospodarstwa światowego.

Ta ekspansywność „młodego" kapitału zgodna była z celami gospodarczymi państw, zwłaszcza zaś krajów zapóźnionych w rozwoju, niedoinwestowanych. Bywał on wprawdzie zaborczy i łupieżczy, bezwzględny i aspołeczny — ale niósł ze sobą nowe warsztaty pracy, wzrost produkcji, zwiększał liczebność ludności: krajom zaś bogatym znosił łupy zdobytych dywidend. Przeto polityka gospodarcza państw jako ważny cel stawiała sobie, aby przedsiębiorca prywatny napotykał na możliwie mało przeszkód dla swej ruchliwości. Do tego celu zmierzało powszechne panowanie klauzuli największego uprzywilejowania, dającej wszystkim wszędzie jednakowe warunki konkurencyjne. Podobne znaczenie miał system waluty złotowej, automatycznie wyrównywujący poziom cen i tempo procesów inwestycyjnych w skali międzynarodowej.

Tak było w okresie „młodości" kapitału międzynarodowego. Po pierwszej wojnie światowej sytuacja uległa głębokiej zmianie. Mnożyć się zaczęły urządzenia administracyjne, odgradzające rozwój gospodarczy poszczególnych krajów od wpływów zewnętrznych. Międzynarodowemu ruchowi kapitałów, towarów i ludzi stawiano coraz różnorodniejsze i coraz większe przeszkody. Pojawiły się i rozpowszechniły tendencje do samostarczalności, urastać zaczęły mury celne, kontyngentowe, dewizowe, zaczęto stosować premie wywozowe, różnicowane kursy walut etc. etc. Na miejsce automatyzmu waluty złotej strzegącego stałości kursu pieniądza i wyrównywającego między narodami poziom cen, zapanowała waluta manipulowana, mająca na celu właśnie wywołanie i utrzymanie odmiennych poziomów cen, oraz izolowanie koniunktur. Na miejsce klauzuli największego uprzywilejowania, pozwalającej wszystkimi ze wszystkimi wszędzie konkurować na równych prawach, mnożyły się układy preferencyjne, będące oszczędnym i zazdrosnym wymierzaniem przywilejów, udzielonych niektórym kontrahentom. — To powszechnie uprawiane praktyki równie powszechnie były potępiane. Narzekano, iż owe wymyślne „entraves au commerce" niszczą i dezorganizują gospodarstwo światowe, uniemożliwiają kapitałowi międzynarodowemu pełnienie dawnej jego twórczej roli. Odbywały się zatem liczne konferencje międzynarodowe, których uczestnicy uchwalili rezolucje- wzywające do przywrócenia swobody obrotów międzynarodowych, poczem, wróciwszy do swych stolic, ustanawiali nowe przepisy, ograniczające te obroty.

Postawić wypada tezę, iż mylono przyczynę ze skutkiem. Owe „entraves au commerce" nie były **przyczyną** która spowodowała zanik ekspansywnej ruchliwości kapitału międzynarodowego. Wręcz przeciwnie, zanik ruchliwości kapitału był ważną, zapewne najważniejszą przyczyną rozrastania się „entraves". Przyczyna zaś zaniku ruchliwości kapitału leżała w nim samym, w jego psychice, która uległa głębokiej zmianie.

Nie tu miejsce, w krótkim artykule zastanawiać się, jakie było podłoże i mechanizm owych zmian w psychice dysponentów międzynarodowego kapitału finansowego. Faktem jest, iż utraciła ona cechy młodości, nabrała cech starszych, rentierskich. Kapitał szukał przede wszystkim bezpieczeństwa, zysk usuwał na plan drugi. Nie podejmował nowych wielkich dzieł, raczej rozbudowywał stare urządzenia. Niechętnie przenikał do nowych dlań krajów: konstatując, że istnieją w nich dlań jakieś niebezpieczeństwa, nie starał się niebezpieczeństw opanować, raczej rezygnował z ekspansji. Zamiast podejmować wielkie inwestycje, dokonywał raczej lokat finansowych i to przeważnie krótkoterminowych, aby w razie niebezpieczeństwa móc uciec z zagrożonego terenu. W ślad za tym obserwowaliśmy w okresie międzywojennym masowe ucieczki kapitału zagranicznego z krajów, uznanych za niepewne politycznie, wędrówki złota z jednego na drugi brzeg oceanu, tak ogromne skupianie się kapitału w „bezpiecznej" Szwajcarii, iż nie tylko nie otrzymał procentów za swoją lokatę, ale do niej dopłacał. Najściślej się to wiązało z rozpanoszeniem się tendencji kartelizacyjnych, a więc tendencji do umownego rezygnowania z walki konkurencyjnej, aby w zamian uzyskać skromniejsze, ale pewne rentierskie dochody.

Zestarzenie się dysponentów międzynarodowego kapitału finansowego spowodowało, iż przestali już oni odgrywać rolę motoru, pobudzającego rozwój gospodarstwa światowego, i rolę czynnika wyrównywającego rozwój gospodarczy poszczególnych krajów. Pozostała nadal stworzona w poprzednim okresie współzależność gospodarcza krajów, popsuł się natomiast instrument, który na założeniu tej współzależności opierał procesy rozwojowe. Kraje, państwa i narody musiały już nie tyle we współpracy wzajemnej, ile we własnym zakresie starać się o pobudzanie swego rozwoju gopodarczego. Stąd pojawiły się tendencje do samostarczalności i wszelkie „entraves au commerce". Rolę czynnika motorycznego przejmować zaczęły w spadku po kapitale prywatnym państwa, do których zresztą ów kapitał prywatny coraz częściej zwracał się z żądaniem pomocy, zabezpieczenia przed ryzykiem, gwarancji. Nastąpiło zjawisko dające się nazwać **uspołecznieniem iniciatywy gospodarczej,** ale walną jego przyczyną był zanik inicjatywy indywidualnej, konieczność zapełnienia luki, jaką ona po sobie zostawiła. Inicjatywa społeczna zaś musiała się ograniczać do ram państwa, nie mogła być międzynarodowa, brakło bowiem dostatecznie silnych i naprawdę skutecznych międzynarodowych form organizacji gospodarczej. Egoistyczne polityki gospodarcze państw zajęły miejsce zanikłych automatyzmów, dlatego, że one znikły. Przywrócenie wolności obrotów międzynarodowych nie nie dały wielkiego rezultatu, skoro zabrakło czynnika, mogącego wolność tę wykorzystać. Raczej szukać należało form organizacyjnych, w których owe egoizmy mogły się przerodzić w kooperację polityk gospodarczych poszczególnych państw.

Wydaje się, że wojna ostatnia była ciężką szkołą, w której świat i tej między innymi nauczył się prawdy. W tym świetle nabierają wyrazistości różnorodne międzynarodowe instytucje gospodarcze, obecnie organizowane. Wszystkie one mają na celu stworzenie takiego systemu międzynarodowych stosunków gospodarczych, w którym na miejscu automatyzmu, wynikającego z działania licznych przedsiębiorców, oraz na miejsce „bójki w ciemności", prowadzonej przez nieskoordynowane polityki gospodarcze państw — pojawiłaby się uzgodniona linia działania zespolonego, mianowicie — działania **kierowanego.** Współzależność gospodarcza krajów, stale istniejąca i nie dająca się usunąć, stałaby się w ten sposób podłożem dla wspólnej ich polityki gospodarczej, prowadzonej przez czynnik ponadpaństwowy. Rezygnuje się zatem z przywrócenia kapitałowi prywatnemu roli, którą niegdyś pełnił i do której chciano go w okresie między wojnami sprowadzić z powrotem, wbrew jego woli i możności.

Wacław Jastrzębowski

MAPA GOSPODARCZA
ZIEM ODZYSKANYCH



DO ARTYKUŁU NA STRONIE 3-EJ

NASZ EGZAMIN HISTORYCZNY

Według obliczeń Głównego Urzędu Statystycznego, dokonanych na podstawie spisu z dnia 14 lutego 1946 roku Polska liczy 23.911.172 ludności. W miastach mieszka 7.404.557 (31,4 proc.), na wsiach 16.202.293 (68,6 proc.) osób. *) Nawet, gdy się weźmie pod uwagę, że na wsiach pracuje część rzemieślników, kupców i inteligencji, nie zmieni to faktu, że w Polsce przeważa, i to znacznie, ludność rolnicza, i swoją liczbą, masą i specyficznymi właściwościami duchowymi wpływa jeszcze w dużej mierze na ukształtowanie psychiki polskiej.

Rolnik pracuje nadmiernie na wiosnę, w lecie i w jesieni, gdy w zimie na ogół próżnuje. Słońce i deszcze wyznaczają mu dni pracy lub odpoczynku. Jego motor duchowy funkcjonuje okresowo, zależnie od pory roku lub pogody. Toteż rolnik zdolny jest do nadzwyczajnych, wyciskających wszystkie jego siły, wysiłków, aby po nich popaść w bezwład. Niezawodnie przysłowiowy „polski słomiany ogień", tak często ujawniający się na przestrzeni naszej historii, ma w rolniczym charakterze ludności swoje źródło.

Mieszkaniec miast i osiedli fabrycznych, aby zarobić na kawałek chleba, musi stale pracować, bez względu na porę roku. Zresztą kopalnie, fabryki, warsztaty rzemieślnicze i inne przedsiębiorstwa, w których pracuje, zmuszają go do stałego wysiłku. Jego motor duchowy jest w ciągłym ruchu. I jego nerwy, dostosowane do huku i stuku oraz napięcie życia w gorączkowych miastach, są silniejsze niż ludzi ze wsi. Wiadomo jest, że żołnierz z miasta łatwiej znosi huraganowy ogień artyleryjski i naloty bombowców, niż jego współtowarzysze ze wsi. Ten ostatni bije za to mieszczucha w marszach, wymagających fizycznego wysiłku.

Dlaczego rozpisaliśmy się na ten temat?

Aby rzucić światło na różnice między psychiką narodów rolniczych i przemysłowych, aby wyjaśnić, że motor duchowy narodów przemysłowych jest dostosowany lepiej do obecnego zawrotnego tempa historii, niż motor duchowy narodów rolniczych. Zrozumieli to przywódcy narodów radzieckich, wkraczając energicznie na drogę uprzemysłowienia ZSRR i przetworzenia psychiki ludów radzieckich.

Powojenna Polska jest w szczęśliwym położeniu. Wraz z odzyskanymi ziemiami przypadły nam liczne warsztaty kopalniane, fabryczne, rzemieślnicze i rolnicze. Zyskaliśmy gęstą sieć komunikacyjną, wielki szlak wodny — Odrę, a przede wszystkim szeroki pas Bałtyku z licznymi portami. W nowej Polsce możemy nie tylko rozładować naszą przeludnioną wieś z nadmiaru sił roboczych, ale również przebudować cały naród gruntownie. Zyskaliśmy warunki, aby przemienić się z narodu rolniczo - przemysłowego w naród przemysłowo - rolniczy i morski.

Kopalnie, fabryki i warsztaty rzemieślnicze na Ziemiach Odzyskanych czekają na robotników i fachowców polskich. Również o polskich fachowców woła gęsta sieć transportowa, a przede wszystkim porty oraz sam Bałtyk. Możemy wyjść na dalekie szlaki morskie i oceaniczne, przywozić z zamorskich krajów potrzebne nam surowce i zbywać na całym świecie nasze produkty przemysłowe i rolne. Już nam Niemcy nie korkują ujścia Wisły, a Odra, związana z bogatym zapleczem gospodarczym, nieść będzie na swych wodach nasze produkty do Bałtyku.

Nie wystarczy jednak samo posiadanie Ziem Zachodnich i Bałtyku. Trzeba te ziemie zaludnić, zagospodarować i przystosować cały naród do nowych warsztatów i szlaków morskich. Wiąże się to z przebudową warstwową narodu polskiego. Z nadmiaru masy rolniczej należy wytworzyć szeregi górników, robotników fabrycznych, rzemieślników, kupców itp. Młode pokolenie trzeba kierować do szkół technicznych, morskich, kupieckich, rybackich, leśnych. Przed każdym młodym Polakiem stoją otworem najprzeróżniejsze zawody życiowe. Trzeba tylko woli i decyzji, aby zdać egzamin historyczny.

Stanisław Grzegorzewski

*) 304.322 osoby nie figurują w podziale na ludność wiejską i miejską, gdyż obejmują wojsko i tą część repatriantów, która w dniu przeprowadzenia spisu powróciła do kraju.

S.O.S. GOSPODARCZE
PRUS WSCHODNICH

Prasa polska, codzienna i periodyczna, zajmuje się na ogół więcej Ziemiami Zachodnimi, niż Ziemiami Północnymi. Pokłosie zjazdu prasowego i wycieczki prasowej dookoła Pojezierza było też niewielkie. Główny temat reportaży stanowił opis obchodu Godów Wiosennych i kwatery Hitlera, choć **władze miejscowe starały się zwrócić uwagę uczestników przede wszystkim na zagadnienia aktualne powierzonego im terenu.** Na tym tle korzystnie odbija zamieszczona w Nr. 27(45) „Kuźnicy" praca Mariusza Margala p. t. „Kraj, który woła o pomoc". Zainteresowanie Ziemiami Północnymi urasta do rzędu konieczności państwowych **ze względu na istotne dla Polski geo-polityczne znaczenie tego kraju.** W szczególności uderza tu ogrom palących, a nader skomplikowanych zagadnień społecznych i gospodarczych. Nigdzie bodaj w Polsce nie występują one z taką ostrością i w takiej nagości, nigdzie bowiem nie przejawiają tak pierwszorzędnego charakteru, nigdzie nie wywołują i nie utrudniają do tego stopnia innych spraw, jak właśnie w Warmii i na Mazurach. Czy chodzi o wieś, czy o miasto; o człowieka, czy o przyrodę, — wszędzie niebywałe zniszczenia, braki, przedziały, konflikty.



Nibork, spalony rynek w czasie działań wojennych w 1945 r.

Weźmy najpierw wieś, choćby takie (wymieniane też przez Margala) Legajny; te zamożną ongiś wieś warmijską, zajmującą się rolnictwem i hodowlą; albo jakąś wieś mazurską, żyjącą z rybołóstwa. I tu i tam jeden wielki ugór i jeden step. Teren, ogołocony z przyrządów i maszyn, nawozów, nasion i sadzonek, zwierząt i ludzi; siedziba — prawie wyłącznie — starców i dzieci. Nieliczne traktory i konie, jak i nieliczne bydło z dostaw zamorskich, skierowywano dotąd przede wszystkim do majątków państwowych. Pewną ilością inwentarza własnego rozporządza element napływowy, stając się obiektem element napływowy, stając się obiektem usprawiedliwionej zazdrości tubylców. Czynniki administracyjne czynią wielkie wysiłki, by użyć wynędzniałej ludności autochtonicznej drogą zaopatrzenia jej w środki konsumcyjne (jak przydziały pierwszej kategorii) i produkcyjne (jak zboża siewne). Lecz to wszystko kropla w morzu ich potrzeb.

A miasto? — Np. Olsztyn, stolica województwa. W przeciwieństwie do wsi — spotykamy się tu ze zjawiskiem przeludnienia. 40 tysięcy mieszkańców (w tym niespełna 2 tysiące tubylców i kilkudziesięciu Niemców) nie może się pomieścić w mieście, liczącym przed wojną 60 tysięcy, jednakże zniszczonym w 45 proc. i przeładowanym urzędami (co zmusiło Zarząd Miejski do zastosowania dekretu o gospodarce lokalami). Odbudowa zaś nie może przybrać odpowiedniego tempa, skoro z przeznaczonych na 14 województw Rzeczypospolitej kredytów w wysokości c/a 660 milionów złotych miesięcznie przypada na województwo olsztyńskie (obejmujące 17 powiatów) zaledwie 12 milionów, a z tego tylko 4 miliony na jego stolicę. Trzeba się więc wstrzymać w roku bieżącym z remontem domów mieszkalnych, natomiast najważniejsze zabytki (Wysoka Wieże i Stary Ratusz) odbudowuje miasto z własnych funduszów. Mimo to jesteśmy pełni optymizmu, że dzięki dużemu wzrostowi naturalnemu oraz położeniu grodu i możliwościom przemysłowym (zwłaszcza w dziedzinie przetwórstwa ryb i drzewa) — stanie się Olsztyn za parę lat największym polskim miastem na Północy.

Trudno byłoby mi ustalić, którędy dokładnie przebiega granica między tym, co w opisie gospodarki stołecznego miasta Warmii i Mazurów stanowi jego „species", a co stanowi w nim „genus", wspólne dla wszystkich miast województwa. Ale jasną jest rzeczą, że swoiste bolączki głównego ośrodka wpływają też pośrednio na sytuacje ciążącego ku niemu terenu. Typowe są tu zapewne **kłopoty finansowe.** A jak miastu daleko do samowystarczalności finansowej, tak i całość województwa grzęźnie w zależność gospodarczą od innych województw, z których dwa powiększono nawet jego kosztem o bogate powiaty południowo-wschodnie i północno-zachodnie.

Oto w zarysie i w przykładach obraz gospodarki wiejskiej i miejskiej na Ziemiach Północnych. I oto uzasadnienie dla alarmów, które muszą znaleźć czynny oddźwięk w najszerszych kołach społeczeństwa, a zwłaszcza wśród publicystów i działaczy społecznych tudzież gospodarczych Polski Centralnej i które muszą być nadal przedmiotem troski władz. Bez uzdrowienia stosunków gospodarczych nie może być mowy o rozładowaniu różnych napięć i o wstrzymaniu odpływu ludności autochtonicznej, która tu ocalała, do... Niemiec, jako też o powrocie tej, którą zaciągi wojskowe i robocze rzuciły na obczyznę.

mgr. Wacław Tobiasz

CO Z TYM IRRACJONALIZMEM?

Pewien młodziutki autor dał mi do przeczytania swój rękopis p. t. „Oduczmy się kłamać". Była to próba rewizji naszego stosunku do własnej przeszłości, jak gdyby odbrązowania niektórych poglądów, uprawianego w swoim czasie z większym lub mniejszym powodzeniem przez Boya. W rękopisie zastanowiły mię między innym dwa zdania. Autor stwierdza, że „rzadko wentylowaliśmy zakamarki naszej historii" oraz dowodzi, iż: „przeklęty polski irracjonalizm, tkwiący w samym rdzeniu pacierzowym naszej świadomości, z reguły każe nam wyżej cenić zręcznie skonstruowaną bajede, niż rzetelne dociekania naukowe". Pomijam dość bulwarowy i hiperboliczny styl. Co do pierwszego twierdzenia, nie zgadzam się z autorem. „Wentylowaliśmy" swoją historię często. Robił to Lelewel. Robiła Szkoła Historyczna krakowska — Szujski, Bobrzyński, Kalinka — aż tak gwałtownie i na wskroś, że wywoływała reakcję nie tylko społeczeństwa, ale i uczonych tej miary, co Askenazy. Korzon również przewentylował wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta. Tadeusz Wojciechowski wentylował nasze średniowiecze, Ludwik Kolanowski epokę Jagiellonów, itd. itd. Gotów jestem zaryzykować hipotezę, że wobec własnej przeszłości bywaliśmy nieraz surowsi, niż inne narody wobec swojej. Zdaje się, że potępialiśmy ostro naszą szlachetczyznę, liberum veto, sejmowładztwo, i na nie właśnie, czyli na samym siebie, składaliśmy głównie winę za upadek Polski. Historykom sekundowała nieraz w tych osądach literatura: wystarczy wymienić Słowackiego („Czerep rubaszny", „Paw i papuga narodów" etc), Norwida lub Świętochowskiego („Genealogia teraźniejszości"). Wydaje się, że stosunek do przeszłości każdego myślącego narodu i ludzkości wogóle najlepiej ujął stary Asnyk — pozytywista: „Szukajcie prawdy jasnego płomienia, szukajcie nowych nieodkrytych dróg... Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć macie sami doskonalsze wznieść: na nich się jeszcze święty ogień żarzy i miłość ludzka stoi tam na straży..."

Jeśli chodzi o drugie twierdzenie młodego autora, naturalnie, należy odrzucać „bajedy" i dążyć tylko do prawdy. Wszelako, każdy naród ma w swej historii pewną ilość „bajed", czyli takich lub innych legend, które widocznie stanowią pewien gatunek pokarmu duchowego. U Szwajcarów np., dalekich od „irracjonalizmu", Winkelried czy Wilhelm Tell stali się „bajedą". U Francuzów „bajedą" jest Roland, o którym (może wcale nieistniejącym?) wielu poetów wyśpiewało natchnione pieśni; skłonny jestem utrzymywać, że w pewnym sensie „bajedą" jest Joanna D'Arc, której nic a nic nie zaszkodził „rewizjonizm" Voltaire'a, natomiast opromieniał ją poezją nie tylko Schiller, ale nawet sceptyczny Shaw. Rosjanie mają przepiękny cykl „bajed" w postaci „bylin", opowiadających o czasach księcia Włodzimierza i innych okresach średniowiecza ruskiego. Dałoby się mnożyć podobne przykłady.

Teraz następna sprawa — „przeklęty polski irracjonalizm". Uderza mię przede wszystkim contradictio in adiecto, zawierająca się w połączeniu „irracjonalizmu" ze „świadomością": „irracjonalizm", tkwiący w rdzeniu (?) świadomości". Irracjonalizm, jak etymologia słowa wskazuje, nie może chyba być świadomy. Irracjonalizm — tłumaczy filozofia — jest to „pogląd na świat, upatrujący istotę świata w siłach **niedostępnych rozumnemu myśleniu,** a których **nie można pojąć,** lecz tylko przeżyć". Irracjonalizm tedy może tkwić w nieświadomości naszej, albo mówiąc freudystycznie — w podświadomości. To pomieszanie pojęć uważam za znamienne nie tylko dla mojego młodego autora, ale i dla naszego ogólnego dziś myślenia. Nie dawno czytałem w „Przekroju" artykuł, który się kończył również wycieczką przeciw znamenu „irracjonalizmowi", wielce zgubnemu, i nawoływaniem do „zdrowego realizmu". W „Kuźnicy" bodaj też ktoś wystepował przeciw „irracjonalizmowi" nie uściślając — przeciw nie, rozmazując jakoś to pojęcie. Książka Jana Kotta p. t. „Mitologia i realizm" jest również do pewnego stopnia walką z „irracjonalizmem", lecz ten dziwny wyraz nie otrzymał i tu należytego wyjaśnienia. Co do niektórych wyrazów czyli słów, istotnie trudno bywa niekiedy udokładnić ich treść, ich znaczenie. Słowa często znaczenie swoje zmieniają; często wlewa się w nie (nawet sztucznie) pewną treść, której właściwie, biorąc je realnie, mieć nie powinny. Już przed wojną pisało się u nas dość o t. zw. słowach bez pokrycia. W rzeczy samej — co naprzykład oznaczały owe sławne „przekroje kierunkowe nastawienia dynamiki gospodarczej na płaszczyźnie kontaktów społecznych" — jakże charakterystyczne dla sanacyjnej „państwowotwórczej" epoki, dla przemówień ówczesnych ministrów, naczelników, działaczów i wszelakich suwerenów. Dzisiaj również niektóre słowa nabierają innego znaczenia.

Może dojść do tego, że „faszysta" przeobrazi się w brukowe wyzwisko, podobnie jak u ludu „sufragan". Może więc i „irracjonalizm" zmienia swoje znaczenie, i okazuje się, że da się z niego zrobić coś „świadomego"? Może „irracjonalizm" jest rzeczywiście szkodliwy i zgubny?

Trzeba by tę sprawę wyjaśnić, przynajmniej oświetlić. Czytałem niedawno w „Odrodzeniu" recenzje z nowego angielskiego miesięcznika „Polemics". Omawiany był artykuł świetnego publicysty Ph. Toynbee p. t. „Projekt na mistrza", jaki się w marcowym zeszycie r. b. „Polemics" ukazał. Toynbee wykłada jaką wiedzę (oprócz talentu) musi posiąść młody adept literatury, jaką wyrobić w sobie postawę wobec świata, jeśli chce zostać prawdziwym, rzetelnym pisarzem. I mówi między innymi: „musi on doceniać pierwiastki irracjonalne w życiu jednostki i grup". Tak jest — dosłownie. Zestawienie więc oryginalne: u nas młodzi adepci literatury i zawodowi krytycy, jak Kott, „przeklinają" irracjonalizm, — w trzeźwej, „realnie" myślącej Anglii stary publicysta zaleca młodym pisarzom, ażeby doceniali pierwiastki irracjonalne. Doceniali — to znaczy rozumieli ich wartość i wagę. Mniemam więc, że nie zaszkodzi rozejrzeć się bliżej w irracjonaliźmie. Jeśli się nad nim zadumać historycznie, można dojść do wniosku, że niejedno wielkie dzieło ludzkie wyrosło z irracjonalizmu, podobnie jak i inne budowano na „realiźmie", czy „racjonaliźmie", czy „materialiźmie". Trzeba tylko, jak pouczał Chesterton, oglądać rzecz objektywnie, czyli z sześciu stron: z przodu, z tyłu, od lewego boku, od prawego boku, z góry i z dołu. Wobec tego, że odcinek mój się kończy, spróbuję w ten sposób objrzeć irracjonalizm (na przykładach) w następnym, za tydzień. A może ktoś z czytelników ułatwi mi zadanie swymi uwagami?

Jerzy Wyszomirski

KRAJ ZORZY POLARNEJ

i przyjaznych serc



GODŁO PAŃSTWOWE NORWEGII

Na rogu Akersgarten i Karl Johans Gate w Oslo wznosi się potężna. budowla **Stortinget** siedziba norweskiego parlamentu. W tych murach ważą się losy trzymilionowego narodu, który zamieszkuje terytorium większe od powierzchni Polski. Stu pięćdziesięciu posłów Stortingu, rządzi narodem, któremu panuje król Haakon VII.

Wystarczy zrobić parę kroków i stanąć u krawędzi chodnika Karl Johans Gate, by w perspektywie tej głównej arterii Oslo, w górze ponad miastem dostrzec klasyczną kolumnadę białego, dwupiętrowego pałacu. „Det Kongelig Slott" — odpowie każdy zapytany przechodzień — „Pałac Królewski".

KRÓL DEMOKRATA

Dążąc w górę aleją Karola Jana ku kolumnadzie pałacowej, można doskonale sharmonizować wysmukłą sylwetkę Haakona VII z demokratyczną rzeczywistością norweską. Niedawno na bankiecie z okazji 40-lecia panowania króla Haakona, przemawiał najpopularniejszy człowiek w Norwegii, premier Einar Gerhardsen. Czytelnikowi polskiemu należy podpowiedzieć w tym miejscu, że jest to socjalista, leader robotniczej Partii Pracy, która w ostatnich wyborach zdobyła absolutną większość w parlamencie. Gerhardsen powiedział wtedy:

„W długich szarych dniach codziennej pracy nauczył się naród norweski szanować i kochać swego króla. Monarchowie skłonni są raczej do pozostawania poza narodem. Dla nas jednak, Norwegów, król Haakon jest wielkim człowiekiem, ponieważ uważamy go za jednego z nas, ponieważ jest ludzki, szczery i przyjazny".

REWOLUCJA BEZ WYSTRZAŁU

Ten łańcuch „długich, szarych dni codziennej pracy" składający się na 40 lat niepodległego bytu Norwegii rozpoczął się w r. 1905 zdarzeniem, jakiego próżno szukać w całej Europie niemal na przestrzeni całej historii. Norwegia była podówczas od lat 90 przyłączona siłą do Szwecji, która traktowała podbite obszary jako swą własność, nie troszcząc się wiele o nastroje Norwegów. Nastroje te wahały się od silnej niechęci do ostrej nienawiści, wzrastając stopniowo we wszystkich warstwach społeczeństwa.

W Oslo wszystko odbyło się po skandynawsku: gdy Oskar II szwedzki odmówił akceptacji jednej z uchwał Stortingu, oburzeni posłowie pod przewodnictwem ministra Michelsena zdecydowali po prostu, że unia personalna między obu państwami jest zerwana, zaś Oskar II zdetronizowany. W obronie zerwanej unii nie wystrzeliła armia szwedzka ani jednego naboju, natomiast układny rząd szwedzki na czysto dyplomatycznej drodze porozumiał się z Michelsenem co do konieczności zburzenia niektórych twierdz przygranicznych. Odtąd dalsze stosunki między obu państwami układają się wzorowo.

Temu bezkrwawemu powstaniu norweskich niepodległościowców zawdzięcza tron i koronę młody wówczas ks. Karol duński, który wraz z nowymi obowiązkami przyjął imię Haakona.

Przez 40 lat swego panowania widział on z wysokości swego „Kongelig Slott" wiele przewrotów, wojen i rewolucji, widział jak padały w gruzy najdostojniejsze satrapie Europy, nigdy jednak własna jego korona nie była w większym niebezpieczeństwie, niż korona króla angielskiego, (którego był gościem na emigracji londyńskiej w latach 1940—1945). Co najważniejsze, po doświadczeniach ciężkich pięciu lat wojny okazało się, że naród norweski nie ma absolutnie nic przeciwko dalszemu panowaniu króla, jak naród belgijski, czy jugosłowiański .

LONDYN CZY SACHSENHAUSEN

Gdy po przyjęciu galowym w pałacu limuzyny odwożą przedstawicieli stronnictw, najserdeczniej żegna się król z premierem Gerhardsenem, przypomina sobie, być może, inne pożegnanie z tym wybitnym socjalistą. Miało ono miejsce 10 kwietnia 1940 r. w małym, północnym porcie Tromsoe. Król, wraz z członkami rządu, opuszczał właśnie swój broniący się ostatkiem sił kraj, Gerhardsen — zostawał.



Rybołówstwo jest największym bogactwem Norwegii

W październiku 1941 r. do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen przybył transport, wiozący wybitną osobistość norweskiego ruchu oporu, ruchu antyquislingowskiego i antyhitlerowskiego. Osobistością tą był Einar Gerhardsen, oficjalnie — urzędnik wydziału drogowego Magistratu w Oslo, nieoficjalnie — przywódca grupy podziemnych działaczy Frontu Krajowego.

Człowiek ten, po wyzwoleniu, premier pierwszego rządu koalicyjnego, zaś po wspaniałym zwycięstwie wyborczym socjalistów — rządu Partii Pracy, jest najpopularniejszym człowiekiem w swym kraju. Syn robotnika, od młodocianych lat socjalista, przeszedł w partii wszystkie szczeble kariery, wysuwając się na czoło przede wszystkim własną pracą.

Jest on politykiem poważnym i szanowanym daleko poza ramami własnego stronnictwa. Bez przesady stwierdzić można, że posiada przyjaciół we wszystkich siedmiu działających partiach (Partia Pracy, konserwatyści, liberałowie, chrześcijańscy ludowcy, komuniści, rolnicy, Partia Jedności Patriotycznej).

A pracy w Norwegii jest dużo. Wprawdzie ani Oslo, ani Bergen, czy Trondheim (największe miasta norweskie), nie są w naszym pojęciu zniszczone, to jednak obszary walk w 1940 (Kristiansund, Aandalsnes, Namsos, Narvik), ucierpiały mocno. Zwłaszcza duże straty notuje się w przemyśle fabrycznym, a z przemysłu żyje większość mieszkańców kraju, który pól uprawnych i łąk posiada zaledwie 3,1% całego obszaru.



Szkoła ludowa w północnej Norwegii

Najboleśniej jednak odczuły wojnę departamenty dalekiej północy. Mianowicie w czasie odwrotu niemieckiego w jesieni 1944 r. pod naporem ofenzywy Armii Czerwonej, oddziały SS i policji niszczyły oddawany teren w sposób totalny, dosłownie nie pozostawiając kamienia na kamieniu. Z zamieszkujących omawiane tereny 70 tys. ludności, 60.000 zostało pozbawione dachu nad głową.

Ludność Norwegii krząta się jednak zapobiegliwie dążąc do powrotu normalnych stosunków, odbudowuje się przemysł, doprowadza do porządku komunikację, a rybacy szykują się do zwykłych wypraw na Lofoty. Warto wiedzieć, że flota rybacka Norwegii uchodzi za największą i najnowocześniejszą w Europie. Wystarczą dwie wymowne cyfry, by zrozumieć dlaczego tak jest. Oto wybrzeże morskie Norwegii wynosi 3.400 km. (nasze—ok. 500), zaś wliczając liczne fiordy i zatoki długość ta wzrasta do imponującej liczby 19.300 km. Nic dziwnego, że potomkowie Wikingów czują się panami Atlantyku, nawet na swych niewielkich kutrach rybackich, które w czasie wojny bardzo często pozwalały uciekinierom z pod władzy gestapo, mimo kontroli niemieckich samolotów i łodzi podwodnych, przeprawiać się na wyspy brytyjskie.

RYBACY SPOD NARWIK I CHŁOPCY Z PODHALAŃSKIEJ DYWIZJI

Właśnie rybacy spod Narvik, którzy w 1940 dopomagali w walkach naszym chłopcom z Dywizji Strzelców Podhalańskich, dziś najwięcej przechowują wspomnień polsko-norweskiego braterstwa broni przeciw agresji niemieckiej.

Fakt, że pierwsze po wojnie lekkoatletyczne zawody Europy, odbywają się właśnie na ziemi norweskiej, mają swoją specjalną wymowę. Walczyć będą ze sobą na bieżniach stadionu w Oslo przedstawiciele państw europejskich w najszlachetniejszym pojęciu słowa walki, tak odmiennym od krwawych wydarzeń, które przeszły nad tym krajem miłującym pokój, sprawiedliwość i pracę.

J. P.

RYWALIZACJA CZY WSPÓŁDZIAŁANIE

Z wynurzeń nie tylko pojedyńczych kupców, ale i przedstawicieli kupiectwa możnaby odnieść wrażenie, że kupiectwo prywatne i spółdzielczość, to dwa wrogie obozy. Takie twierdzenia dowodzą zupełnego niezrozumienia dzisiejszej rzeczywistości i dróg, na jakie wstąpiła nasza gospodarka.

W tych dniach część prasy podała cyfry. malujące potęgę kupiectwa prywatnego. Olbrzymia ilość sklepów, wielkie obroty w zestawieniu z rzekomo znacznie mniejszymi cyframi w tych dziedzinach, jakimi może pochlubić się spółdzielczość, mają być dowodem że handel prywatny obsługuje spożywcę lepiej i pewniej, spełnia niezastąpioną rolę w państwie.

Ani cyfry niczego nie dowodzą, ani twierdzenia na nich oparte nie są słuszne. Spółdzielczość ma rzeczywiście za mało sklepów w stosunku do swoich potrzeb. Jakież to są potrzeby? Wbrew opinii, szerzonej przez prywatnych właścicieli sklepów, potrzeby te, to wcale nie zabijanie handlu prywatnego, tylko jego regulowanie. Uczciwe kupiectwo, pracujące na podstawach zdrowej kalkulacji, musi zrozumieć, że istnienie spółdzielczości w dzisiejszych warunkach, zupełnie odmiennych od przedwojennych, jest gwarancją jego istnienia. Tam, gdzie kalkulacja jest niezdrowa i spekulancka, bije ona zarówno w ludność, jak i w poszczególnego kupca, który brzydzi się spekulacją. Spekulacja jest nawet groźniejsza dla uczciwego kupiectwa prywatnego, które nie ma tak potężnych środków jak zrzeszona spółdzielczość, by przeciwstawić się jej.

Jednym z najważniejszych czynników dzisiejszej naszej gospodarki, decydującym o jej właściwym rozwoju, jest normalizacja cen, podlegających obecnie olbrzymim wahaniom. Wahania mają przeważnie charakter spekulacji. Na stabilizacji zależy nietylko państwu i społeczeństwu. Powinno zależeć również kupiectwu. Pogoń za doraźnym zyskiem maksymalnym może przy sprycie jednostki być dla niej źródłem majątku. Uprawiana przez znaczną grupę ludzi, prowadzi najpewniej do dewaluacji tego majątku, nie mówiąc już o szkodach, poniesionych przez społeczeństwo. Część kupiectwa prywatnego zdaje się nie dostrzegać tych jasnych i prostych prawd. Okres okupacji przyczynił się do rozwoju złych nałogów, przejawiających się w dążeniu do zbijania majątku w czasie możliwie najszybszym i najbardziej radykalnymi sposobami bez myśli o przyszłości.

System naszej gospodarki każe pomyśleć o tej przyszłości. Korzyści inicjatywy prywatnej nakazują szybkie i porządne ułożenie stosunków między spółdzielczością a kupiectwem prywatnym i organizacjami, związanymi z tym kupiectwem. To ułożenie stosunków pozwoli też uniknąć poważnego niebezpieczeństwa, jakim może być etatyzacja handlu, do czego chyba kupiectwo nie zdąża, a jednak przyczynia się, walcząc ze spółdzielczością.

DEMOKRACJA ALE JAKA?

Na zakończenie dyskusji na temat „Demokracja, ale jaka?" zapoczątkowanej w Nr 2 „Tygodnia" zamieszczamy uwagi jednego z naszych czytelników oraz replikę autora.

REFLEKSJE OBIEKTYWNE

Idziemy do demokracji. To jest najistotniejsze określenie naszej obecnej rzeczywistości. Ale droga nasza jest jeszcze daleka i trudna. Zależna jest od uspokojenia umysłów i nastrojów, gdyż tylko w takich warunkach będzie można wybrać sejm, który opracuje nową konstytucję, precyzującą formy naszej demokracji. To jest strona proceduralna zagadnienia.

O pozytywnym rozwiązaniu tego zagadnienia decyduje strona ideologiczna, która jest bardziej skomplikowana, ze względu na toczącą się mniej lub więcej jawnie walkę, lub, powiedzmy łagodniej, ze względu na panującą u nas dużą różnicę poglądów na przyszłą formę ustrojową. Obserwator postronny nie orientuje się często w przyczynie tradycyjnego dla nas rozdźwięku. Bo przecież co do treści i nazwy samego ustroju nie ma między nami różnicy zdań i wszyscy zgodni są co do tego, że ustrój nasz będzie miał charakter demokracji ludowej.

Demokracja zatym, — zgoda, ale — jaka?

Dochodzimy do sedna sprawy. Dochodzimy do wyjaśnienia, chciałbym nazwać: szczerego i uczciwego, przyczyny rozdźwięków i tragicznych nieraz nieporozumień. Nie o treść i nazwę chodzi. Chodzi o formę...

*

Manifest PKWN z dnia 22 lipca 1944 r. rozwiązał zasadniczo i zdecydowanie podstawowe zagadnienia ustrojowe: upaństwowienie przemysłu i nadanie ziemi chłopu. To był pierwszy, najważniejszy krok, postawiony na drodze demokracji. To jednak rewolucja, ale jeszcze nie utrwalona demokracja.

Drugim etapem tej drogi było zorganizowanie i uruchomienie tego wielkiego aparatu, nowego dla naszej państwowości. Praca na tym etapie rozpoczęta, mimo trudnych warunków i charakteru często eksperymentalnego, trwa. Tylko ślepi mogą nie widzieć ogromu pozytywnych wyników, osiągniętych w ciągu niespełna dwóch lat. Należy złożyć jedynie hołd tym wszystkim, którzy rozpoczęli, jak wydawać się mogło początkowo, syzyfową pracę odbudowy. To już bohaterstwo wprawdzie, ale jeszcze nie pełna demokracja.

Ostatnim etapem tej twardej drogi, etapem, ze względu na nasze przywary narodowe, może najtrudniejszym, będzie konsolidacja sił wszystkich, mimo różnicy poglądów obywateli, do szczerej współpracy, najpierw nad odbudową, a później nad utrwaleniem naszych zdobyczy. Wynik zależny będzie od dobrej woli i zrozumienia swych obowiązków wobec państwa przez obywateli, z jednej strony, z drugiej zaś strony od właściwej oceny tych wysiłków przez rząd. I to będzie dopiero utrwalona demokracja.

*

Zastanówmy się teraz, o jaką chodzi nam formę. Interpretacja tej samej nazwy i tej samej treści, może być i jest różna. Ten moment właśnie jest źródłem różnicy zdań o jednej i tej samej przecież sprawie. Nawiasowo tylko pragnę wspomnieć o zdaniu tych nielicznych pogrobowców kapitalizmu, którzy najchętniej widzieliby sielski dla siebie ustrój przedwojenny. Abstrahując od tego, że lud doszedł do władzy i władzy tej nie odda, powinni ex przemysłowcy i ziemianie dojść wreszcie do uczciwego wniosku, że odebranie im władzy nie było jedynie aktem rewolucyjnej przemocy, lecz sprawiedliwym następstwem w rozwoju wypadków dziejowych. Bądźmy szczerzy: na przestrzeni kilkuset lat rządzili, niezawsze zresztą dobrze, panowie, opierając swój dobrobyt na lojalnej i ciężkiej pracy chłopa, później robotnika. Mieli dosyć czasu na użycie i wyżycie się. Jeżeli drogą ewolucyjnych i rewolucyjnych przemian społecznych, które objęły już prawie cały świat, decydować chce i będzie o sobie lud, który ma przytłaczającą większość, niechaj zechcą ci panowie wczuć się w role odwrócone i odwzajemniając się, niechaj pracują teraz wspólnie i lojalnie. W wypadku przeciwnym znajdą się poza nawiasem. Wynik zależy tylko od stanowiska, jakie zajmą, mogą przytem liczyć na właściwą i sprawiedliwą ocenę.

Poza tą grupą, jak dotychczas aspołeczną, ścierają się dwie grupy, powiedziałbym dwa kierunki. Jednym z nich, propagowanym przez większość stronnictw zblokowanych, jest oparcie przyszłego ustroju na zasadach demokracji ludowej, przy dużej ingerencji czynnika państwowego w życiu gospodarczym i kulturalnym kraju i przy oparciu w polityce zagranicznej o Związek Radziecki, przy współpracy z demokracjami Zachodu.

Kierunek drugi, którego przedstawicielami są inne z sześciu stronnictw oraz część społeczeństwa, skłania się ku ustrojom gwarantującym w życiu gospodarczym znaczną inicjatywę prywatną, w polityce zagranicznej zaś — oparcie o demokrację Zachodu, przy współpracy ze Związkiem Radzieckim. Różnice pozornie nieznaczne, a jednak zasadnicze. Różnice programowe, które dotyczą naszych spraw wewnętrznych, gospodarczych, są nieznaczne i dadzą się zatrzeć do czasu skrystalizowania form ustrojowych, względnie będą występowały na forum sejmu, przyczem nie będzie to objawem niebezpiecznym, a raczej twórczym. O znaczeniu zasadniczym są różnice poglądów, jeśli chodzi o linię polityki zagranicznej, wyraźnie mówiąc o stosunek do Związku Radzieckiego. Temu zagadnieniu nie zawsze właściwie naświetlanemu przez urzędową i szeptaną propagandę, pragnę poświęcić nieco obiektywnej uwagi.

*

Opierając się na przesłankach raczej racjonalnych, a mniej uczuciowych, dojdziemy do wniosku, że stosunki nasze ze Związkiem Radzieckim wytworzyły się w wyniku przelanej wspólnie krwi w walce z Niemcami i w konsekwencji przyjaźni dopiero kiełkującej, a nawiązały się na skutek specyficznej sytuacji geo - politycznej, na której kształtowanie mamy taki wpływ, jak na to, aby słońce świeciło lub nie.

Metr neutralnego pasa granicznego ze Związkiem Radzieckim był do niedawna przepaścią. Ta „splendid isolation" nie wyszła nam jednak na zdrowie. Prosty rozsądek nakazuje, aby przez ten metr ziemi przerzucić trwały most porozumienia.

Przestańmy zatem na chwilę zachłystywać się rojeniami o mocarstwowości, zdajemy sobie wreszcie sprawę z tego, że Związek Radziecki jest jedną z trzech potęg, a wtedy zrozumiemy istotę sytuacji, zgodzimy się z nią, i zależnie od umiejętności przystosowania się do nowych warunków, będziemy mówić o wzajemnym zaufaniu, i dopiero potem deklamować o przyjaźni.

Pewien brak zaufania, nurtujący w społeczeństwie, ma swoje źródło w niewłaściwie nastawionej propagandzie, która nasze stosunki polityczne i gospodarcze ze Związkiem Radzieckim buduje na przyjaźni. Przyznajmy, że współpraca ze Związkiem Radzieckim jest koniecznością dziejową, a dopiero w wyniku zaufania, nabytego z tej współpracy, zbudujemy i zacieśnimy węzły przyjaźni.

Pogłębienie uczciwego i szczerego stosunku ze Związkiem Radzieckim pozostawmy na razie czasowi. Lepiej, aby nastąpiło ono nieco później, ale miało charakter trwały.

*

Przy tak zrozumiałym oparciu o Związek Radziecki nie stoi nic na przeszkodzie naszej współpracy z demokracjami Zachodu. Myślmy wreszcie realnie. Nie powtarzajmy błędów przeszłości, które nas tak drogo kosztowały. Starajmy się żyć ze wszystkimi w zgodzie. Zabiegajmy jednak o stosunki z silniejszymi od nas, a przedewszystkim z tym, z którym żyjemy przez miedzę.

Z. A. Lutrosiński

Parę słów wyjaśnienia

Dyskusja sprowokowana mym artykułem „Demokracja — ale jaka" potoczyła się raczej torem uzupełnień niż walki poglądów. Moją tezą było: nie wołajmy ponad miarę „demokracja". Jeszcze nie gotowa demokracja w Polsce. My w Polsce mamy rewolucję ludową. To znaczy idziemy do demokracji ludowej — pełnej, wszechstronnej, zorganizowanej.

Rewolucja ma swoje prawa: prawo twardości życia, prawo wysiłku, prawo przodownictwa świadomej i twórczej części narodu.

Te prawa — są prawami, nie hasłami. Nikt się nas nie pyta, czy się nam podobają, czy nie. Jak wszystkie prawa są koniecznością. Lepiej tymi twardymi koniecznościami nie obciążać demokracji — która im nie winna — bo to rozczarowuje nieświadomych, bo to zaciemnia wymowę rzeczywistości. A nam Polakom trzeba nareszcie patrzeć w twarz rzeczywistości bez upiększeń i złudzeń.

Tak mniej więcej, pisałem.

Ob. S. K. znalazł lepszy sposób na wszelkie zło naszego świata. Prawda — przyznaję — jest rewolucja, a rewolucja nie jest przyjemna. Wobec tego skończmy rewolucję. Dosłownie: „skończmy z tym — od dzisiaj budujemy".

Dwa błędy w jednym zdaniu. Pierwszy błąd — że rewolucja to niby niszczenie, a budowa — to co innego.

Nie. Rewolucja — to nie tylko przewrót polityczny, pukanina na ulicach i nowy rząd, czy choćby nowa konstytucja. To zwykle początek rewolucji społecznej, nie koniec. Rewolucja społeczna — to właśnie budowa. Budowa przez nowe świadome i twórcze siły społeczne fundamentów nowego ustroju — o który woła rzeczywistość, którego nie rozumie stary obyczaj myślenia dużej części narodu .

To jeden błąd. A, drugi to ta wiara, że może ktokolwiek powiedzieć „dość od dzisiaj, g. 12 w południe kończymy rewolucję i zaczynamy co innego".

Owszem można przerwać rewolucję kontrrewolucją. Ale dokończyć jej nie można — dopóki nie dokona swego społecznego dzieła. Rewolucja nie jest wymysłem. Nie wprowadza się jej i nie odwołuje dekretem. Rewolucja trwa póty — póki świadomość ogromnej większości społeczeństwa nie pojmie nowej rzeczywistości. Dopóty przewodzić musi tylko część świadoma, dopóki nie działa jeszcze w pełni nowy ustrój, nowa konstytucja polityczna, nowa gospodarka. Bo nie ma nowego człowieka.

A skoro nie działa jeszcze dobrze nowa gospodarka — słuszna, lepsza niż dawna, ale jeszcze nie obsadzona nowymi ludźmi, nie natchnięta nową inicjatywą — dopóty nie może być mowy o gwałtownym wzroście dobrobytu — ob. Kiełczewski. To jest także twarde prawo rewolucji.

I ma rację ob. Krzepkowski, kiedy powiada, że trzeba wychowywać nowego człowieka i wskazuje palcem spółdzielczość — szkołę kultury gospodarczej i inicjatywy gospodarczej nowego, młodego gospodarza — ludu polskiego.

Prawda. Nowy ustrój — to nowy człowiek, nowy sens inicjatywy nowych młodych warstw społecznych. Dopiero, kiedy one dojrzewają — wlewa się życie w szkielet ustroju. Nowa spółdzielczość, jest właśnie dlatego jedną z ważnych form rewolucji ludowej w Polsce.

Rewolucja skończy się tym prędzej, tym prędzej przyjdzie pełna demokracja ludowa — im prędzej my wszyscy — cały naród — zrozumiemy. Im prędzej — zrozumiawszy staniemy w szeregach sił twórczych i świadomych budowniczych nowego ładu. Tylko oni bowiem tworzą rzeczywistość. Demokracja ludowa też nie jest wymysłem, tylko prawem rozwoju społecznego. Kto przeciw niej — ten przeciw życiu.

Nic dziwnego, że w listach do redakcji, że w głosie ob. Lutrosińskiego wypłynęła sprawa współpracy ze Zw. Radzieckim. Musiała wypłynąć skoro się mówi o rewolucji polskiej. Bo polska rewolucja — to nie tylko nowy ustrój społeczny — to nowa linia rozwoju dziejowego. To wielka — pierwsza od czasów Władysława IV szansa rozwoju dziejowego. Ziemie Zachodnie, a więc współpraca ze Zw. Radzieckim. Ob. Lutrosiński słusznie nie dziwi się, że wychowanej w starych nawykach świadomości przeciętnego Polaka — trudno się zdobyć od razu na wylew przyjaźni.

I kto zna przeciętnego mieszczucha, nie będzie się dziwił, że pamięta o zegarkach i rowerach — ale zapomina o czołgach radzieckich, które przepędziły Niemców i o grobach poległych na naszej ziemi żołnierzy radzieckich.

Nie dziwię się wreszcie ofiarom wielkiego przewrotu dziejowego. Jak każdy przewrót dziejowy— tak i ten musiał kosztować. Jak przy każdym przewrocie dziejowym — tak i przy tym, potrzebnym, koniecznym dla całego narodu — bardzo ucierpiało wiele jednostek.

Trudno żądać od tych jednostek entuzjazmu. Ale mamy prawo żądać jednego — zrozumienia, że lojalna i konsekwentna współpraca ze Zw. Radzieckim nie jest narzucona układem sił koniecznością — jest naszą własną, na daleką metę racją stanu.

A przyjaźń przyjdzie. Rzadko przyjaźń sama rodzi między narodami współpracę. Zwłaszcza między narodami sąsiednimi. Dobra współpraca zato musi zrodzić przyjaźń.

Wielka i zbawienna dla obu stron próba przekreślenia paruset lat pobłądzonej historii nie dokona się w ciągu roku. Ale musi się dokonać. Tak chce nasza i wasza racja stanu.

Adam Rapacki

KANAŁAMI DO ŚRÓDMIEŚCIA

W numerze dzisiejszym podajemy dalszy ciąg fragmentów z mającej się ukazać książki p. t. „Moje wspomnienia z konspiracji i Powstania" Kpt. Ognistego.

EWAKUACJA

Ewakuacje rozpoczęto 2 września o godz. 10 rano kanałami do których właz znajdował się na Placu Krasińskich. Próba przebicia się w kierunku Placu Bankowego przez Ogród Saski górą — nie powiodła się, wobec dużej przewagi broni niemieckiej. W pierwszym rzędzie ewakuowano rannych, później ludność cywilną i oddziały bez broni. Nie udało się niestety wszystkich ewakuować. Musieliśmy pozostawić część ciężko rannych, których ze względu na stan zdrowia nie można było transportować w bardzo ciężkich warunkach kanałowych.

Niemcy tego dnia kilkakrotnie atakowali redutę Matki Boskiej. Obsługa CKM z dowódcą kapralem Zetką (Kwiecik Zygmunt) i obsługa piata musiały kilkakrotnie zmieniać stanowiska i paraliżować włamania npla.

Ul. Długa była pod ciągłym ogniem nieprzyjacielskim. Saperzy przygotowywali przejścia poprzez piwnice i ruiny, aby przez nie można było transportować rannych i cywilów do włazu przy Sądzie Apelacyjnym. Na redutę Matki Boskiej zjawiły się resztki baonu „Chrobry" z dowódcą kpt. Konarem i por. Krynicą (Moniak Władysław), którzy do ostatniej niemal chwili trwali w pasażu Simonsa (róg Długiej i ul. Nalewki). Koncentryczny atak samolotów niemieckich zamienił pasaż Simonsa w kupę gruzów, zginęło tam wielu powstańców z baonu „Chrobry".

Ostatnie godziny pobytu na Starym Mieście były bardzo gorączkowe. Służba sanitarna wyszukiwała rannych po schronach i domach, aby odesłać ich z transportem do Śródmieścia. Ludzie, którzy nieśli ciężko rannych, po przybyciu do Śródmieścia byli wyczerpani do ostatnich granic, przebywając całą drogę w kanałach w pozycji zgiętej. Akcją transportową kierował starszy sierżant Leszek i jego główną zasługą było, że wszyscy ranni po przybyciu do Śródmieścia znaleźli należytą opiekę lekarską i pomieszczenie.

Ewakuacja trwała przez cały dzień i w nocy w największej tajemnicy, aby wróg nie zorientował się w naszych przedsięwzięciach. Jako ostatni z placu zszedł batalion kpt. Gozdawy o godz. 2 min. 30 w nocy, wtedy, gdy Niemcy byli w odległości 50 mtr. od włazu t. j. po drugiej stronie budynków Sądu Apelacyjnego. Na ochronę redut pozostały tylko nieliczne grupki pod dowództwem por. Maciejewskiego i ppor. Jackowskiego. Oddziały te miały za zadanie markować pełną obsadę i wycofać się o godz. 4 rano. Por. Maciejewski wszedł ze swoim oddziałem (1—12) o godz. 4 min. 10 jako ostatni po oderwaniu się niepostrzeżenie od npla. Co się stało z oddziałem ppor. Jackowskiego w sile 1—10 ludzi dotychczas nie zdołano ustalić. Możliwe, że oddział ten wszedł do kanałów przy ul. Hipotecznej i lub dostał się do niewoli.

Okres 33 dni walki na Starym Mieście, piekła na ziemi, a jednocześnie największego heroizmu i bohaterstwa zakończył się. Ostatnie spojrzenie na ruiny Starego Miasta wywołało dziwny ból, że musimy się z nimi rozstać. Zdawało nam się, że z tymi ruinami zrośliśmy się raz na zawsze.



Spalony krzyż na zgliszczach kaplicy Kanoniczek, przy Placu Teatralnym

KANAŁAMI DO ŚRÓDMIEŚCIA

Dzień i noc wycofywały się oddziały ze Starego Miasta. Wreszcie przyszła i na nas kolej. Już przy samym wejściu odczuliśmy nieprzyjemny zapach i duszność. Zeszliśmy na dół 6 mtr. po klamrach. Ciemność wszędzie, nawoływaliśmy się, aby utrzymać łączność. Ktoś krzyczy — łączniczka Gołęgowska (znacznej tuszy) spadła z klamry na głowę sanitariuszce Irmie .Kpt. Gozdawa zapalił lampkę i dr. Roman pośpiesznie zrobił opatrunek rozciętego czoła. Podchor. Włodek dał mi kabel do trzymania, aby nie stracić łączności i tak posuwaliśmy się powoli gęsiego. Woda i nieczystości sięgały nam prawie powyżej kolan. Pod nogami natrafiliśmy na jakieś strzępy ciała, czy szmat, które plątały nasze nogi. Ściany były przy dotyku bardzo nieprzyjemnie obślizgłe. Początkowo staraliśmy się ich nie dotykać, jednak później nikt nie zwracał na to uwagi, byle trochę odpocząć i oprzeć się o nie. Szliśmy w pozycji schylonej. Wzrost i tusza moja nie pozwalały na schylanie się, jednak nie mogłem odpoczywać, aby nie stracić w ciemności poprzedników. Po drodze napotykaliśmy na różne rozgałęzienia kanałowe. Słychać było jakiś szum wody jakby w wodospadzie. Krzyk: Uwaga burzowiec! Podobno ktoś już wpadł... i po nim ślad zaginął. Kpt. Gozdawa dowcipkował, inny znowu uciszał go, bo Niemcy tuż i t. d. Wywiązały się dialogi i docinki. Słyszeliśmy turkot czołgów i strzelaninę oraz wybuchy granatów. Nagle oddział się zatrzymał, gdyż spotkaliśmy pierwszy nasz posterunek, który nakazał zachowanie ciszy. Byliśmy na wysokości Komendy Miasta. Po chwili oddział ruszył dalej. Trochę odpoczynku pokrzepiło nasze zmęczenie. Ach, żeby można się wyprostować! Całe szczęście, że nie miałem żadnych pakunków. Weszliśmy w kanał znacznie mniejszy i ciasny, poczułem, że się duszę, dotykałem prawie brodą kolan. Miałem na głowie hełm, więc nie odczuwałem uderzenia o sklepienie kanałów. Żeby jak najprędzej przejść te ciasne nory! Woda sięgała niemal do pasa. Ktoś się potknął, słychać krzyki i śmiechy. Wreszcie trafiliśmy na zakręt i weszliśmy do kanału oświetlonego elektrycznością, jak w salonie, gdzie można się było swobodnie wyprostować. Z boku siedział posterunek i oznajmił, że jesteśmy już na „naszej stronie". Humory się poprawiły bo do wyjścia już niedaleko. Oddział zatrzymał się dość długo, bo samo wychodzenie, a raczej wyciąganie ludzi odbywało się pojedyńczo i bardzo pomału, nie wszyscy byli zdolni ze zmęczenia wyjść o własnych siłach. Podróż kanałowa z Placu Krasińskich do ul. Wareckiej przy Nowym Świecie trwała około 3-ch godzin. Po wydostaniu się na zewnątrz wszyscy byli zdziwieni, bo po miesiącu zobaczyliśmy światło elektryczne na ulicach i ruch ludności cywilnej a nawet spacerowiczów.

Przydzielono nam kwatery na Marszałkowskiej 125. Po przybyciu na miejsce witał nas gorąco mjr. Zagończyk (ppłk. Steczkowski) d-ca IV rejonu.

Nasze kwatery w śródmieściu nie nadawały się na odpoczynek po ciężkich walkach i przeżyciach na Starym Mieście, ponieważ dom był częściowo zbombardowany i nie miał żadnego urządzenia. Wobec tego kpt. Gozdawa zarządził wyszukanie kwater na własną rękę. Po dłuższych poszukiwaniach zainstalowaliśmy się w domu przy ul. Moniuszki Nr. 12. Oddziały ze Starego Miasta rozkazem Naczelnego Dowództwa przeznaczone były do odwodu, aby w ciągu 3-ch dni mogły wypocząć i doprowadzić broń do stanu używalności.

Po upadku Starówki lotnictwo npla skierowało główne nasilenie na rejon Śródmieścia—Północ t. j. od Królewskiej do Alei Sikorskiego. Dnia 4 września o godz. 8 rano została zbombardowana nasza kwatera przy ul. Moniuszki Nr. 12, zostaliśmy zasypani wraz z kpt. Gozdawą, lecz dzięki wszczętej akcji ratunkowej wydostaliśmy się szczęśliwie, zanim pożar opanował dom. W skutek tego bombardowania szef kancelarii st. sierż. Grześkowiak został ciężko ranny (złamane obie nogi), zaś kancelistka Marta Wysocka („Wirska") została silnie potłuczona i ranna w rękę. Nie zdołano z pałacego się domu zabrać przydzielonej żywności i części akt.

Z dniem 5 września druga kompania por. Lecha i 4-ta kompania ppor. Ogórka objęły odcinek bojowy w rejonie Chmielna—Marszałkowska — Zielna — Sosnowa i Złota. zaś kompania kpt. Prusa po drugiej stronie Marszałkowskiej, ul. Chmielną i Złotą, a w dwa dni później odcinek wzdłuż ulicy Nowego Światu i wylotów Ś-to Krzyskiej, Wareckiej, Górskiego i Chmielnej. Powiśle „puściło", trzeba było utrzymać linie Nowego Światu łącznie z Alejami Sikorskiego. Zarządzono pośpieszne budowanie barykad u wylotu tych ulic i cały wysiłek Dowództwo skierowało na utrzymanie tej linii obrony.

W dniu 7 września zostaliśmy powiadomieni, że należy spodziewać się lotników amerykańskich, którzy dokonają zrzutów. Wyznaczone zostały patrole zrzutowe na punktach krańcowych. Niebawem pojawiły się od zachodu na dużej wysokości samoloty amerykańskie i wyrzuciły ładunki.

Nadzieja uzyskania broni, amunicji, i żywności okazała się złudna, bowiem prawie wszystkie spadochrony spadły na stronę wroga. Jedynie nasze oddziały w okolicach ul. Żelaznej podjęły 3—4 ładunki z bronią. Samoloty amerykańskie leciały zbyt wysoko, tak że Niemcy nawet nie usiłowali ich ostrzeliwać .

Ostatnia pomoc lotnictwa amerykańsko-angielskiego nie dotarła do rąk powstańców.

W Śródmieściu, wobec dużego zgrupowania oddziałów walczących i ludności cywilnej, obok braku amunicji i broni, dał się odczuć brak żywności. Sprawa wyżywienia stawała się coraz tragiczniejsza. Wszystkie zapasy żywnościowe, rozmieszczone w różnych punktach zostały spalone lub zniszczone. Pozostawał tylko browar Haberbuscha przy ul. Krochmalnej, mający w swoich magazynach jęczmień i żyto. Jedyne wyżywienie powstańców i ludności cywilnej to kasza początkowo z jęczmienia, a później z żyta bez tłuszczu i przypraw. Chleba i mąki już dawno nie oglądaliśmy.

W dniu 9 września został ranny odłamkiem bomby mjr. Sosna — Dowódca Zgrupowania i na skutek odniesionych ran zmarł 11 września 1944 r. Śmierć jego była wielką stratą dla wszystkich oddziałów walczących, szczególnie dla tych oddziałów, które pod jego dowództwem walczyły na Starym Mieście. Walczył on od samego początku Powstania na Woli, później na Starym Mieście i wreszcie w Śródmieściu na odcinku od Królewskiej do Alei Sikorskiego. Dzięki niemu udało się zatrzymać nieprzyjaciela wzdłuż linii Nowego Światu, kiedy Niemcy wdzierali się poprzez Chmielną, Ś-to Krzyską, Warecką, i Górskiego do Śródmieścia. Oddziały z Powiśla „spłynęły" na drugą stronę Alei Sikorskiego i oddziały „Starówki" ratowały sytuację.

Po śmierci mjr. Sosny dowództwo całego odcinka Śródmieścia „Północ" objął Płk. Tunguz - Zawiślak.

Dnia 9 września godz. 12.30 wpłynął do dowództwa kpt. Gozdawy następujący rozkaz:

Do

P. kpt. Gozdawy

Potwierdzenie ustnego rozkazu z godz. 9-ej

Wyznaczam P. Kapitana na dowódcę pododcinka Aleje Sikorskiego do ulicy Ś-to Krzyskiej i Górskiego włącznie, z zadaniem utrzymania pododcinka za wszelką cenę i wyrzucenie nieprzyjaciela poza Nowy Świat. Należy obsadzić:

a) odcinek pasaż Collosseum z utrzymaniem łączności z ulicą Chmielną,
b) obsadzenie ulicy Chmielnej aż do wylotu Nowego Światu i niedopuszczenie nieprzyjaciela do zbiegu ul. Chmielnej, Zgoda, Brackiej i Szpitalnej.
c) Do dyspozycji oddaję P. Kapitanowi 1+30, z pozostawieniem do wyłącznej mojej dyspozycji oraz 1+10 z komp. mjr. Górki. Meldunki sytuacyjne przesyłać do mojego m. p. co godzinę.

Dowódca odcinka

(—) Tunguz, płk.

Na skutek tego rozkazu oddziały batalionu: kompania por. Leszka i kompania por. Ogórka zostały wycofane z zajmowanego odcinka bojowego po drugiej stronie ul. Marszałkowskiej, od Chmielnej, Zielnej i Złotej i stanowiska te przejęły oddziały mjr. Barego. Kompania por. Leszka przeznaczona została na zajęcie stanowisk wzdłuż Alei Sikorskiego i w domu Bracka 18, ponieważ do „Cristalu" wdarli się Niemcy. W raporcie por. Szarego czytamy, że w „Cristalu" rozegrała się zacięta walka, gdzie zginęło wielu Niemców. Do naszych pozycji dochodziły jęki rannych i Niemcy prosili o chwilową przerwę ogniową, aby zabrać swoich rannych.



Fot. kpt. Gozdawa

Bomba lotnicza, spadająca w czasie walk w śródmieściu we wrześniu 1944 r., u zbiegu ul. Jasnej i Zgoda.

Wobec wdarcia się nieprzyjaciela od strony „Cristalu" i pasażu Colloseum zarządziłem pośpieszne budowę nowej barykady przy zbiegu ul. Chmielnej i Brackiej po obu stronach narożnika, ponieważ cała ulica Chmielna znalazła się pod bezpośrednim obstrzałem z Nowego Światu i z Alei Sikorskiego. Pociski padały tak gęsto, że coraz częściej mieliśmy rannych i zabitych. Na kwaterach u „Braci Jabłkowskich" ciężko ranna została sanitariuszka Wisłocka Lucyna, łączniczka Stefcia i jeden strzelec, zaś przy barykadzie Bracka 23 ranny został ppor. Klimont.

Na odcinku kpt. Prusa w rejonie Poczty Głównej i Górskiego walki stawały się coraz bardziej dramatyczne. Dzień 10 września dla 1 kompanii wypadowej był dniem największych strat: w/g meldunku d-cy kompanii było aż 50 proc. strat w zabitych i rannych.

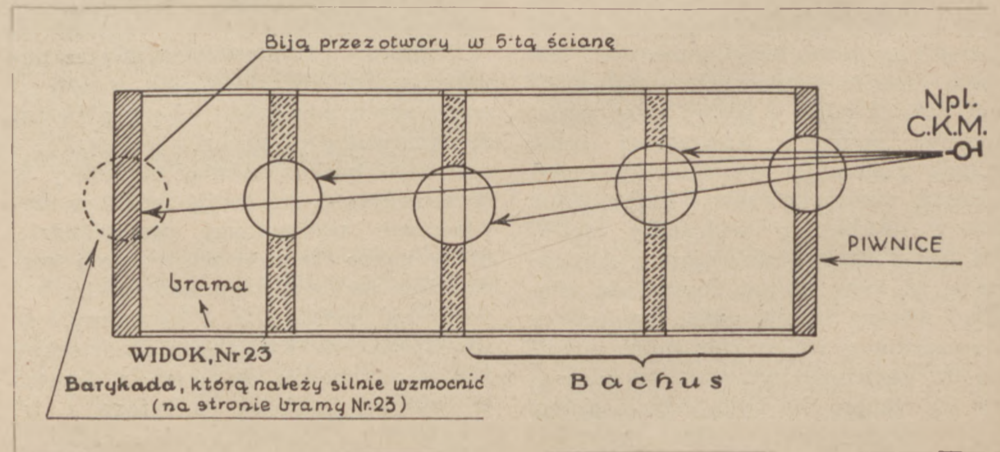
Tego dnia kpt. Prus otrzymał rozkaz od płk. Tunguza, aby za wszelką cenę utrzymać pozycję, „odwrót tylko na noszach". Okropny rozkaz, ale trzeba go było wykonać. Dowódca kompanii posłał resztę swojego oddziału pod dowództwem ppor. Sieradza, który przebił się do Poczty Głównej likwidując granatami po drodze stanowiska nieprzyjacielskie i wreszcie dotarł z ludźmi na Pocztę Główną.

Groźnie przedstawiała się sytuacja na odcinku Chmielna 10 i Górskiego 3. Tutaj trwał na stanowiskach por. Olszewski ze swoim plutonem. Tegoż dnia miał on również duże straty, zginął bardzo dzielny d-ca drużyny sierż. Pawłowski, ponadto 8 rannych między innymi podchor. Hermes i podchor. Poręba. Straty npla wyniosły 5 zabitych i kilkunastu rannych.

Kpt. Bolesta (Kawecki Ryszard) po powrocie z drugiej strony Alei Sikorskiego, z ludźmi z Dyonu Motorowego w stanie 2+10 — został wysłany na wsparcie por. Olszewskiego i objął stanowiska Górskiego 1,4 i 6 oraz Chmielna 10.

Por. Ogórek d-ca 4-ej kompanii oraz por. Zagłoba (Tadeusz Smoliński) mając odwód 4+25, obsadzili w kilku punktach linię Nowego Światu.

Dnia 11 września por. Ogórek otrzymał rozkaz od kpt. Gozdawy następującej treści: „Polecam natychmiast przystąpić do rozpoznania przedpola w kierunku Nowego Światu. Wysłane patrole mają dotrzeć do Nowego Światu. Wyniki rozpoznania meldować mi do dnia 12.9.44 r. do godz. 3 rano."



Odcinek Chmielna, Aleja Sikorskiego i Bracka był zagrożony, ponieważ Niemcy po zajęciu „Cristalu" częściowo wdarli się do budynków Bracka 18 i zachodziła obawa, że mogą odciąć całe Śródmieście od Brackiej do Nowego Światu.

Następnego dnia reszta kompanii por. Ogórka obsadziła stanowiska Chmielna 11 i wzdłuż linii Nowego Światu do Górskiego. Kpt. Bolesta z jednym plutonem zajął stanowiska po parzystej stronie ul. Chmielnej i utrzymywał łączność z plutonem por. Olszewskiego, zaś po nieparzystej stronie Chmielnej obsadzone zostały stanowiska przez dwa plutony, których dowódcami byli por. Prut i por. Zagłoba.

Według meldunku por. Pruta (Stanisława Wieczorka) sytuacja wydawała się być groźna, szczególnie w rejonie Chmielna 11 i 13, gdzie npl. wdarł się na parter.

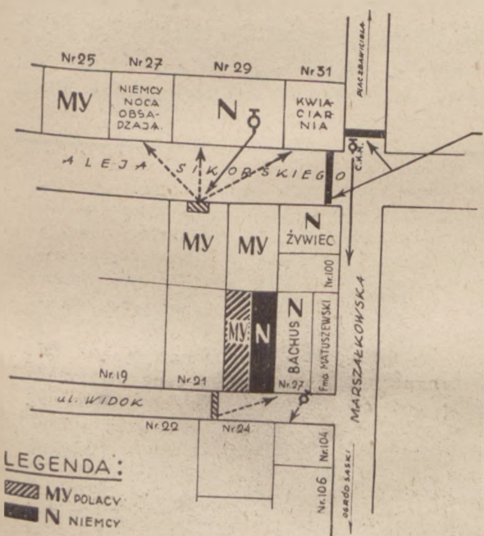
Kpt. Gozdawa w towarzystwie st. sierż. Leszka (Baran Franciszek) udał się niezwłocznie na ul. Chmielną 13 i po zorientowaniu się na miejscu w ogólnej sytuacji — zdecydował uderzyć na wroga. St. sierż. Leszek z pistoletem maszynowym zajął stanowisko ukryte w otworze, z którego miał doskonały wgląd na podwórze Chmielna 11. Kpt. Gozdawa dał rozkaz do otwarcia ognia w momencie, kiedy na podwórzu Chmielna 11 zebrało się około 30—40 Niemców, kłócących się ze sobą. St. sierż. Leszek i czujki nasze niespodziewanym ogniem zaskoczyli Niemców, wśród których powstała panika. Niewielu z nich zdołało zbiec, prawie wszyscy polegli lub zostali ranni.

Po otrzymaniu raportów z poszczególnych odcinków wynikało, że poniesione straty były niezwykle krwawe. W związku z tym wysłałem pismo do d-cy zgrupowania:

M.P. 12.9.44 r.

Armia Krajowa
Oddział kpt. Gozdawy
Do Pana Dowódcy Zgrupowania
ppłk. Tunguza
Meldunek sytuacyjny

Dnia 12.9.44 r. o godz. 6 rano rozpoczęto natarcie z ul. Brackiej 18, ppor. Szczerba z

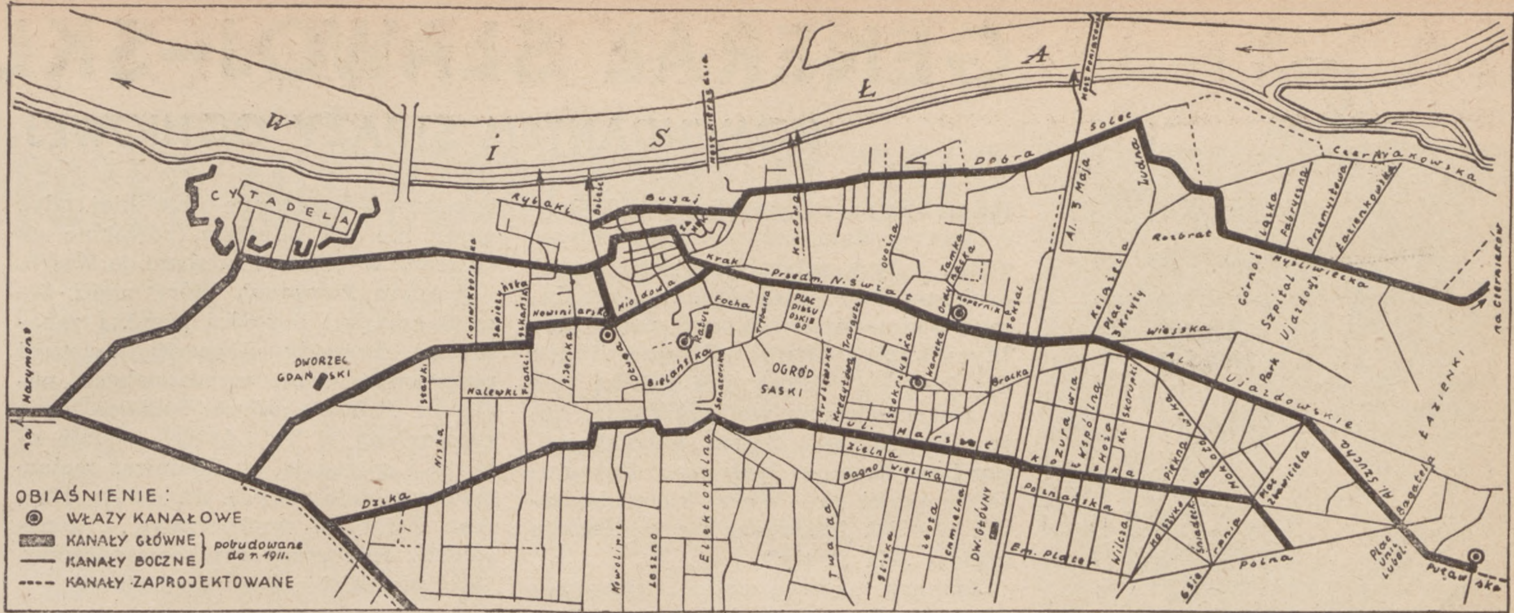


ul. Chmielnej 11, por. Olszewski oraz z ul. Górskiego 1, por. Ogórek. Natarcie poszło w kierunku ul. Nowy Świat. Ppor. Szczerba rozpoczął natarcie z ul. Brackiej 18 w kierunku „Colloseum", w którym związał npla, zaś por. Olszewski natarł w kierunku Nowego Światu z lewej strony na „Colloseum". W wyniku nataracia w kierunku na Nowy Świat zajęto dom przy ul. Chmielnej 9, którą to pozycję utrzymano, zaś atak w kierunku na „Colloseum" nie udał się — z powodu silnego ognia npla oraz dużego pola obstrzału. Por. Ogórek natarł w kierunku Nowego Światu, zajmując dom Nr. 41 na Nowym Świecie, lecz wskutek silnego ognia i przeciwnatarcia npla zmuszony był się wycofać. Obecnie oddziały umacniają się na zajętych stanowiskach. Straty własne wynoszą 6 zabitych, 25 rannych i jeden zaginiony, w tym ciężko ranny dowódca oddziału Chmielna 9 por. Olszewski, zastępca d-cy por. Zagłoba, kpr. Karasiński Józef (Antek Śmiały), zaginął d-ca z ul. Górskiego 1 por. Ogórek.

Oddziały moje znajdują się od 7 dni w pierwszej linii. Straty są przez ten czas bardzo duże (42%), żołnierze wyczerpani, nieodżywiani i niewyspani. Proszę więc o zluzowanie ich innymi świeżymi oddziałami. Powoduje się w tej prośbie jedynie troską, jako dowódca w stosunku do podwładnych. Oddział mój po dwudniowym wypoczynku i zreorganizowaniu znowu odzyska właściwe oblicze i nastawienie bojowe. Poza tym obawiam się chorób zakaźnych wśród nieczystych żołnierzy. Broń jest w stanie okropnym, bo nie ma czasu i warunków na jej czyszczenie. Brak amunicji zwłaszcza do PM. Proszę o uzgodnienie, kto ma prawo wydawania rozkazów poszczególnym dowódcom, ponieważ zdarza się często, że moje rozkazy są zmieniane przez wyższych oficerów bez mojej zgody.

Dowódca oddziału
w/z Ognisty kpt.

Przy tej okazji przytaczam wyjątek z Biuletynu Informacyjnego z dnia 26 września 1944 r. Nr. 9 — który omawia groźną sytuację, kiedy oddziały kpt. Gozdawy broniły Nowego Światu:



Fragment planu kanałów warszawskich

„W tym najbardziej heroicznym okresie Powstania na specjalne podkreślenie zasługują dwa momenty:

1. wzorowe wycofanie się ze Starówki,
2. przełamanie ciężkiego kryzysu, który groził załamaniem Powstania. Był to czas skoncentrowanego uderzenia nieprzyjaciela na północną część Śródmieścia, przy równoczesnym wypieraniu nas z Powiśla. **Historia oceni kiedyś ile zawdzięcza Powstanie w tych krytycznych dniach — żołnierzom, broniącym dojścia do Nowego Światu, na Plac Napoleona i Bracką (oddziały kpt. Gozdawy)** i żołnierzom obsadzającym ruiny ul. Królewskiej (oddziały kpt. Żmudzina i batalionu „Wigry").

Tego dnia wpłynął meldunek:

Do kpt. Gozdawy

Melduję, że wysłany patrol plut. Kamińskiego odnalazł por. Ogórka (Głowackiego Juliana) nieżywego i zwłoki jego znajdują się o moim m.p. Jak dalej postąpić proszę o rozkazy. Czy go pochować na miejscu, czy też przetransportować na Bracką 23. Jednocześnie przesyłam przedmioty, które miał przy sobie. Ja zostałem ranny, lecz pozostaję na pozycji.

Wytyczyński kpt.

Na Brackiej 23 urządzono pogrzeb ś. p. por. Ogórka i pochowano go na placyku Bracka 23, gdzie znajdowały się mogiły żołnierzy z jego kompanii, między innymi łączniczki jego — Chłopkówny Wandy, kpr. Sobolewskiego Jana, strz. Jaszczyńskiego Jerzego i wielu innych. Por. Ogórek pośmiertnie odznaczony został krzyżem Virtuti Militari V klasy.

Tutaj pragnę podkreślić, że po powrocie do kraju stwierdziłem w Czerwonym Krzyżu w Warszawie, że polegli powstańcy zostali exhumowani z Brackiej 23 i przewiezieni na cmentarz Powstańców na Wolę. Niestety na tym cmentarzu nie udało mi się odszukać poległych z mojego batalionu, bowiem nie ma tam żadnych tablic poległych. Są tylko groby zbiorowe z numerami. Dlaczego ci, którzy zajmowali się exhumacją nie zabrali tablic, wykonanych przez samych powstańców? Dlaczego tablice te zostały zniszczone? Gdzie teraz rodziny i koledzy mają szukać swoich najbliższych?

Na odcinku Bracka 18 por. Leszek tegoż dnia miał również ciężkie straty: 3 zabitych i 6 rannych, w tym 4 ciężko rannych. Por. Leszek w meldunku pisze: „udało mi się zatrzymać tych sukinsynów, pomimo, że żołnierze są nieprzytomni ze zmęczenia, bez odpoczynku i zmiany. Grupa moja, która była odcięta w kinie „Studio" zdołała dzisiaj wyjść cało, zabijając po drodze 7 Niemców. Razem z por. Szarym przygotowujemy atak na „Cristal".

W dniu 14 września na skutek współdziałania naszych oddziałów, po wielkich wysiłkach udało się wyrzucić nieprzyjaciela z „Cristalu" i „Colloseum", który usiłował te budynki wysadzić minami, lecz zamierzenia te w porę sparaliżowano. Po parzystej stronie Alei Sikorskiego pozostał npl jedynie w „Cafe Club", mając przy boku bazę wyjściową z B.G.K. Usiłowania nasze zmierzające do zlikwidowania Niemców w BGK okazały się bezsilne, ponieważ wokoło tego potężnego budynku nie było ukrytego dojścia, wszystkie bowiem przylegające domy zostały spalone, ponadto npl posiadał do BGK doskonałą arterię komunikacyjną z Dworcem Głównym przez tunel kolejowy.

Z pisma z dnia 16.9., przesłanego do zgrupowania mjr. Sosny, wynika, że batalion Gozdawy dotychczas miał odznaczonych: 4 — krzyżem Virtuti Militari, 109 — krzyżem Walecznych i 95 żołnierzy zostało awansowanych. Spośród 4-ch odznaczonych krzyżem Virtuti Militari — 3-ch zginęło.

W oddziale naszym walczył strzelec sowiecki Aleksy Zarow, ze Stalingradu, który został odbity z rąk Niemców. Zasłużył on sobie na wielkie uznanie.

W dniu 22-go września odcinek bojowy ul. Bracka — Al. Sikorskiego do ul. Marszałkowskiej stanowiły najważniejsze pozycje kluczowe. Toteż na te punkty przeznaczone zostały dwa działka ppanc., które otrzymaliśmy z zrzutów sowieckich. Dowódca saperów sierż. Piotrowski został wysłany wraz z ludźmi na Aleję Sikorskiego 32 celem pobudowania stanowisk dla ppanc. do ostrzelania kwiaciarni po drugiej stronie ulicy Marszałkowskiej róg Alei Sikorskiego, gdzie Niemcy mieli w bunkrze umieszczone: ciężki karabin maszynowy i ppanc. Wieczorem tego dnia otrzymaliśmy ponowne zrzuty sowieckie.

ścianę z cegieł i piasku od strony Alei Sikorskiego grubości conajmniej 1 mtr. Ponadto należy wybudować drugie stanowisko zapasowe w sklepie. Stanowisko to miałoby obstrzał na Nowy Świat do Muzeum oraz do ul. Brackiej po przeciwnej stronie Alei Sikorskiego. Tak zbudowane stanowiska mogłyby chronić od npl. (patrz szkic).

Słusznie pisał por. Jar, bo siła ognia ciężkich karabinów maszynowych jest ogromna, przez wstrzeliwanie się w jeden punkt można przebić nie tylko jedną ścianę, jak wskazuje plan, nadesłany przez por. pil. Białego.

Na ul. Marszałkowskiej 104 zajął stanowiska kpt. Wytyczyński z działkiem ppanc., skąd



Grupa powstańców w Śródmieściu w dniu kapitulacji. Na pierwszym planie sierż. pchr. „Tygrys"(x), który zniszczył dwa czołgi niemieckie.

Por. Jar, oficer inspekcjonujący stanowiska bojowe zaleca w swoim raporcie aby dla stanowiska i działka ppanc. na rogu Brackiej — Al. Sikorskiego został wybudowany bunkier, ponieważ osłonowe ściany są za cienkie i wynoszą zaledwie 20 cm., ściane osłonową od strony Brackiej należy wyłożyć płytami betonowymi chodników lub cegłami grubości conajmniej jeden metr. a następnie workami z piaskiem od strony wewnętrznej do wysokości 2,5 mtr. na całą odległość ściany. Zbudować również osłonową

miał bardzo dobry obstrzał na Dworzec Główny, „Bachusa", „Żywiec" i kwiaciarnię. Jak się później okazało granatniki sowieckie o długich lufach były bardzo celne. Np. jeden pocisk oddany z granatnika do domu Nr 31 przy Al. Sikorskiego spowodował ogromne zamieszanie wśród załogi wroga.

Ognisty kpt.

W następnym numerze podamy fragmenty dalszych walk w Śródmieściu i przeżycia popowstaniowe.



Ludność Warszawy z resztą dobytku wędruje do obozu w Pruszkowie.

GENERAŁ SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI

KOMENDANTEM STRAŻY OGNIOWEJ W TEL-AVIVIE



LOSY GŁOŚNYCH EMIGRANTÓW NA BLISKIM WSCHODZIE

Gdy gen. Sikorski stanowczo sprzeciwił się przyjazdowi szeregu wielkości sanacyjnych do Francji, by nie obciążać swego konta, a do Rumunii i na Węgry wkroczyli pierwsi Niemcy, różni dawni dygnitarze ruszyli do Turcji W Stambule zaopatrzono ich na dalszą drogę w bilety kolejowe, w paczki żywnościowe i trochę pieniędzy na drobne wydatki, i transport ruszył do małego portu tureckiego Mersyna, w pobliżu Aleksandretty, skąd statek polski „Warszawa“ przewiózł wszystkich do Haify.

Rozmieścili się, gdzie kto mógł. Ten w Haifie, ów w Tel-Avivie, inny w Jerozolimie. Los ich był naogół żałosny. Niektórzy usiłowali trzymać fason, inni rezygnowali powoli z wszelkich wymagań i wiedli suchotniczy żywot uchodźców. Dopiero mianowanie gen. Sosnkowskiego naczelnym wodzem wydobyło niejednego na wierzch, na którym utrzymywał się dzięki możnej protekcji Andersa.

Listę otwiera sam b. premier, gen. dyw. **Sławoj-Składkowski** · któremu z dawnej wielkości pozostały „strzępy“ nieledwie. Prysnął przez granicę rumuńską w skórzanej kurtce, ale z pełnymi walizami, i tak dotarł do Palestyny. Przez pewien czas żył w zapomnieniu, ale gdy dowódcą Ośrodka Zapasowego Brygady Karpackiej został b. komendant Policji Państwowej gen. Kordian Zamorski, — Sławoj zdołał się ulokować na stanowisku szefa sanitarnego Ośrodka. Nie na długo wszakże. Nie wiadomo na czyj wyższy rozkaz szef sanitarny przeszedł znowu do cywila, ale pozostała mu emerytura. Zdobyte w ten sposób funty Sławoj umieścił w fabrykacji wędlin, i zapewnił sobie tym samym stałe dochody miesięczne. Niezdolny do jakiejkolwiek poważnej pracy, spędzał czas na nygusowaniu, dopóki nie wpadł mu do głowy genialny pomysł: zapisał się do ochotniczej straży pożarnej żydowskiej w Tel-Avivie. Był to w historii młodego miasta pierwszy generał — strażak. Uhonorowano go przeto należycie i mianowano komendantem straży pożarnej, co zmusiło Sławoja do pilnego uczenia się języka hebrajskiego.

Nieodstępnym towarzyszem Sławoja był gen. **Krzemiński,** były prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa: malutki, okrągłutki, z wydętymi policzkami i z kozią bródką. Żyje w Tel-Avivie trochę z zasiłku uchodźczego, trochę z łaski sprytniejszego Sławoja. A może i jemu Sosnkowski wyznaczył emeryturkę?

W Jerozolimie mieszka inny były premier, **Janusz Jędrzejewicz.** I on wegetował początkowo w jednym pokoiku, dopóki Sosnkowski nie wydobył go z biedy, powołując go do rezerwy oficerskiej w randze majora. Dochody Jędrzejewicza podniosły się odrazu o kilkanaście funtów miesięcznie. Skromne bytowanie urozmaicał sobie Jędrzejewicz raz na rok, wygłaszając dłuższy referat w dniu imienin Piłsudskiego. Jeden z tych referatów ogłosił nawet drukiem. Przy współudziale innych Janusz Jędrzejewicz stworzył partię polityczną pod nazwą: „Związek Pracy dla Państwa“. Poza nim główną rolę w nowym stronnictwie odgrywają: były wicemarszałek Sejmu Jedynak i b poseł na Sejm — Krzysztoń. Patronuje tej partii gen. **Wiatr,** który dostarcza również funduszów na wydawanie organu „Na straży“.

Jedynak również został dźwignięty przez Sosnkowskiego, który powołał go do rezerwy oficerskiej w randze kapitana. Pozostał jednak zwykłym zjadaczem chleba i nie bierze udziału w życiu społecznym.

Natomiast **Krzysztoń** przeżywa okresy wzlotów i upadków. Raz jest w łaskach, i wtedy powołuje się go na prezesa Komitetu Uchodźców Polskich z poborami 12 funtów miesięcznie, to znów opiekunowie pozostawiają go na łasce Opatrzności. Prezesuje od kilku lat „Towarzystwu Ochrony Ziem Wschodnich“.

Najbliższym kolegą i przyjacielem Janusza Jędrzejewicza był aż do swego wyjazdu do Włoch, były minister rolnictwa **Poniatowski.** Ciekawe jednak, że mimo przyjaźni, stale się z sobą sprzeczali. Poniatowski prowadził zresztą skromny tryb życia, co zjednało mu pobłażliwe przezwisko „Jezusek z obrazka“. Ponieważ nie można go było powołać do rezerwy oficerskiej, gdyż nigdy nie był oficerem, powołano go do pracy w YMCA i wysłano do Włoch.

Kordian Zamorski, który przez pewien czas był dowódcą ośrodka zapasowego Brygady Karpackiej, poszedł po pewnym czasie w odstawkę, a następnie stracił zaufanie Andersa. Żyje zapomniany w Tel-Avivie, maluje obrazy i sprzedaje je. Ponieważ malarstwo nie daje stałych dochodów, Kordian Zamorski wydzierżawił z generalskiej emerytury gaj pomarańczowy, jako przedsiębiorstwo dochodowe.

Były wojewoda kielecki **Dziadosz** stanowi w tej galerii typ dodatni. Skromny i pobożny, ale ze swą znaną odwagą cywilną, jest bardzo często postrachem dla przyjaciół, jak i dla przeciwników ideowych. Żył ze skromnego zasiłku uchodźczego i odrzucał wszelkie oferty pomocy. Jedną koszulę miał na grzbiecie, drugą prał własnoręcznie. I klepał tak przez kilka lat biedę, dopóki go Sosnkowski nie powołał do Korpusu Sądowego w randze majora, którą ongiś posiadał.

Generał **Jarnuszkiewicz,** ongiś właściciel stajni wyścigowej w Warszawie, zazdrości swemu rywalowi z toru wyścigowego, Andersowi i zieje ku niemu nienawiścią, przypominając chętnym słuchaczom wszystkie kombinacje wyścigowe Andersa. Grywa w bridża bardzo ostrożnie, aby broń Boże nie przegrać. Po za tym zajmuje się w dalszym ciągu kolekcjonerstwem. Znany ze swego skąpstwa, zyskał sobie przezwisko „Garnuszkiewicz“, ponieważ osobiście czyni zakupy na targu i gotuje sobie strawę.

Gen. Jur-Gorzechowski, bohater Pawiaka, dożywa swych starczych dni poza nawiasem życia politycznego i społecznego. Lubi od czasu do czasu dobrą kompanię i ożywia się w towarzystwie, zwłaszcza przy lampce dobrego wina.

Gen. Przeździecki utrzymuje się z dzierżawy gaju pomarańczowego, zaś **gen. Fabrycy** żyje w zupełnym odosobnieniu i zapomnieniu w Jerozolimie, opowiadając każdemu przygodnemu słuchaczowi, że jego armia była jedyną, która nie została rozbita przez Niemców we wrześniu 1939 r.

Osławiony **Drymer** z MSZ usiłował przedłużyć swe dyktatorskie rządy poza granice Polski, ale musiał szybko zrezygnować. Żył w Tel-Avivie na utrzymaniu swej żony — kosmetyczki Ymkarki, wreszcie Sosnkowski powołał go do czynnej służby w stopniu kapitana.

Nie mniej osławiony **Żyborski,** b. dyrektor departamentu politycznego w M. S. Wewn. mieszka w Tel-Avivie. Znalazł schronienie w Czerwonym Krzyżu i straszy zesłaniem powracających do Polski.

B. minister sprawiedliwości, **Grabowski,** oddał się w służbę Anglików, przebywa w Erytrei, gdzie sądzi Murzynów.

Aleksander Then

AMERYKAŃSKIE KŁOPOTY

mieszkaniowe

Amerykański projekt rządowy przewiduje wybudowanie w ciągu dwóch lat 2.700.000 mieszkań. Milion budynków ma stanąć w tym roku, przy czym połowę będą stanowiły t.zw. domy składane.

Probem mieszkaniowy należy do najtrudniejszych zagadnień w życiu Stanów Zjednoczonych, a chociaż kraj ten rozporządza największymi zasobami finansowymi i przemysłowymi świata, nie jest w stanie rozwiązać sprawy budownctwa mieszkalnego. Głód mieszkaniowy jest ogromny.

Natomiast w dziedzinie komornego nieszczęsny, w pełnym tego słowa znaczeniu, lokator lub sublokator miał do zwalczenia nielada przeciwności. Już znalazł mieszkanie i podpisał umowę, a tu każą mu płacić dodatkowe wygórowane opłaty np. za sprzątanie klatki schodowej, abo za umeblowanie, z którego w ogóle nie korzysta. Dopłaty takie sięgają często kwot wyższych niż samo komorne. Hotele nie pozostają w tyle i potrafią wystawić każdemu z małżonków oddzielny rachunek, aby pobrać opłatę za 2 pokoje zamiast za jeden. W pewnym wypadku podobno doszło do rozwodu, gdyż gorliwy hotelarz, chcąc pobrać większą cenę, dopisał samotnemu gościowi do rachunku „żonę“ i policzył za pokój dwuosobowy! Największe jednak bolączki lokatorów amerykańskich pochodzą stąd, że według amerykańskiego systemu ratalnego, całe wyposażenie nieruchomości pozostaje własnością przedsiębiorcy aż do chwili całkowitej spłaty rat. Chcąc wymusić podwyżkę komornego gospodarze często uciekali się do fikcyjnego demontażu np. kanalizacji lub centralnego ogrzewania.

Ochrona lokatorów w karykaturze amerykańskiej



Sprzątanie gospodyni — *Dopisanie nieistniejącej żony* — *Oddzielne sypialnie małżeńskie, ale tylko na papierze*

Popularne pojęcia o amerykańskim standarcie mieszkaniowym, operujące bądź drapaczami chmur bądź pięcio i sześciopokojowymi domkami jednorodzinnymi, są fałszywe. Większość 130 milionów Amerykanów nie mieszka ani w żelbetonowych kolosach ani w luksusowych willach. Podczas gdy w ciągu ostatnich 15 lat ludność wzrosła bardzo znacznie, ruch budowlany był poniżej normy, a od 1942 r. nie budowano w ogóle nic. Jeżeli będziemy pamiętać jednocześnie o zasadniczej właściwości budownictwa amerykańskiego — obliczaniu trwałości budynków na jedno pokolenie (25 do 50 lat), zrozumiała się stanie ostrość przeżywanego obecnie kryzysu.

Amerykanie są narodem niezbyt zdyscyplinowanym i nie lubią podporządkowywać się zarządzeniom państwowym, zwłaszcza jeżeli dotykają ich kieszeni. Ze względu na specyficzną strukturę rynku — kontrola cen żywności była ułatwiona — wystarczał nadzór nad kilkudziesięciu kluczowymi firmami.

Nie martwmy się jednak zbytnio o Amerykanów. Wybudują sobie nowe domy; ale jak one będą wyglądały? Pierwsze serie domów składanych przypominają zupełnie baraki. Są to niewątpliwie tylko pierwsze próby, i dalsze modele będą przypuszczalnie bardziej estetyczne. Budowanie domów z elementów wytwarzanych seryjnie w fabrykach, staje się zresztą modne również w Europie. Wystarczy przypomnieć znane już u nas domki



Typowy okaz budownictwa amerykańskiego w małym mieście.

fińskie, produkowane nie tylko w Finlandii lecz również w Szwecji. Niemcy, posiadają dziś dość znaczne rezerwy drzewa, przystąpiły nawet do produkcji na eksport. Pierwsze 1000 takich domków zakupiła Czechosłowacja. Zanosi się na rewolucję w budownictwie mieszkaniowym nie tylko w Ameryce.

Władysław Pawlak

Rozmaitości...

Co to są Chiny?

Jakiś dowcipniś dał takie określenie Państwa Chińskiego: Kraj gdzie róże nie mają zapachu, a kobiety serca; gdzie robotnicy nie znają świąt, a sędziowie sumienia; gdzie starcy bawią się jak dzieci, a młodzież udaje powagę; gdzie strzałka kompasu wskazuje nie północ, a południe; gdzie jako miejsce rozumu uważają żołądek; gdzie zdjęcie kapelusza przy powitaniu jest ciężką obrazą; gdzie biały strój uważa się za najgrubszą żałobę; gdzie istnieje literatura nie mająca alfabetu i język nie ulegający przepisom gramatyki.

Zdjęcie na stronie tytułowej przedstawia: u góry — typowy norweski krajobraz; na lewo u dołu — główną ulicę w Oslo; na prawo — miasto Alesund fon Aksla, rozrzucone wśród wysepek, tak charakterystycznych dla norweskich fiordów.



Jadwiga Wajsówna na zawodach lekkoatletycznych w Warszawie w dniu 11 sierpnia br. uzyskała w dysku wynik 41 m. 15 cm. Powtórzenie tego wyniku w Oslo może jej zapewnić zwycięstwo.

PRZED MISTRZOSTWAMI W OSLO

Ostatnie Igrzyska Olimpijskie przed wojną odbyły się w Berlinie w r. 1936. Młodzież całego świata przyrzekła tam w momencie przysięgi olimpijskiej, że dokładać będzie wszelkich starań, aby spory polityczne między narodami załatwiane były polubownie. Historia chciała inaczej. Wybuchła najkrwawsza w dziejach świata wojna, i wielkie demonstracje braterstwa ludów, jakim są Olimpiady, po dwakroć (r. 1940 i r. 1944) nie mogły się odbyć.

Tak zwaną Małą Olimpiadą bywają Mistrzostwa Europy, w których mogą brać udział państwa, zrzeszone w Międzynarodowej Federacji Sportowej. W dniach od 21 do 24 sierpnia r.b. (na stronie 1-ej podano termin 15 — 18 sierpnia, który uległ przesunięciu). Mistrzostwa te, w dziejach lekkiej atletyki, rozegrają się w stolicy Norwegii — Oslo, ściągając uwagę sportowców, jako swego rodzaju przygrywka do najbliższej, powojennej Olimpiady.

Udział Polski w tych Mistrzostwach będzie, niestety, dosyć skromny. Stajemy na bieżni w Oslo bez większych szans zwycięstwa. Nadzieje nasze pokładamy tylko na Walasiewiczównie, która dowiedziawszy się w Ameryce, że Polska wysyła do Oslo kilku zawodników, natychmiast zgłosiła swoje usługi. Mistrzyni świata znajduje się podobno w doskonałej formie, i będzie z pewnością w Oslo jedną z najpopularniejszych zawodniczek.

Ogólne zainteresowanie budzi sprawa ewentualnego startu zawodników Zw. Radzieckiego. Przed rozpoczęciem mistrzostw lekkoatletycznych Europy, zbierze się w Oslo kongres delegatów poszczególnych państw, na którym zapadnie decyzja co do przyjęcia Związku Radzieckiego na członka.

Z chwilą, gdy zostanie on członkiem Federacji — zawodnicy sowieccy będą mogli stanąć na starcie w Oslo. Dochodzą nas coraz częściej sensacyjne wyniki ze Związku Radzieckiego. Przedewszystkim na wysokim poziomie sportowym znajduje się tam lekkoatletyka kobieca.

Norwegia, to raczej kraj sportów zimowych. Wystarczy wymienić nazwisko Sonie Henie, czy też Lalle Schou Nilsen, która jest rekordzistką świata w biegach szybkich na łyżwach we wszystkich konkurencjach, począwszy od 500 m. a skończywszy na 10 km. Słynni są tacy narciarze Norwegii, jak weteran i mistrz wielu olimpiad Haug, ostatnio zaś Birger Ruud. Dzielnie mu sekundują Hagen i Hoffsbakken.

Staksrud, Engenstangen, Ballangrud jako bokserzy, są nie mniej słynni od Tilla czy Nilsona. Na ostatniej Olimpiadzie w Berlinie Chmielewski po zwycięskiej walce z Clarkiem natknął się na pięściarza Norwegii i musiał kapitulować. Rzecz inna, że Chmielewski, a z nim cała sportowa Polska przeżyła wówczas jedną ze swoich tragedii sportowych. Chmielewski miał kontuzjowane ręce i nie mógł walczyć, jak powinien. Tiell zajął wówczas wicemistrzostwo olimpijskie, ulegając w finale Francuzowi Despeaux.

Piłkarze Polski przegrali z Norwegią 2:3. Mecz ten zadecydował o zdobyciu przez Norwegię trzeciego miejsca na Olimpiadzie. Na pierwszym miejscu byli wówczas Włosi, na drugim Austria, na trzecim Norwegia i za nią Polska. Piłkarze Norwegii potrafili wyeliminować jedenastkę Niemiec, bijąc ją 2:0, jak również pokonać Turcję 4:0.

Z lekkoatletów norweskich przed wojną znany był w Europie H. Lovland, który w 1920 r. w Antwerpii zdobył mistrzostwo VII Olimpiady w dziesięcioboju. Popularny był dyskobol Sorlie. Zajął on z wynikiem 48.77 czwarte miejsce w Berlinie w 1936 r., wówczas gdy Carpentier (USA) rzucił 50.48.

Haugland skakał w trójskoku 14.56, a Berg w dal miał 730. Średniodystansowiec Schanheyder przebiegał 400 m. w czasie 49,4 a Jahannesen na 800 m. miał czas 1.56 sek., wówczas gdy Kucharski dystans ten przebiegał nieco lepiej bo w 1. 54,7 sek. Wśród długodystansowców słynny był w Norwegii Hansen — rywal naszego Nojego. Norweg na 5 km. miał 14.48 i 9 miejsce na Olimpiadzie wówczas gdy Noji był na 5 miejscu z czasem 14.33,4. Wysoki poziom biegacza reprezentował Rasdal, który na 10 km. robił 31.40,4, wówczas gdy Kusociński miał w Los Angeles 30.11,4 sek.



Stanisława Walasiewiczówna walczy o stały medal na mistrzostwach lekkoatletycznych Europy w Oslo.

Tych kilka wspomnień i porównań wyników lekkoatletów polskich z norweskimi, stwierdzić może, że jak Polska, tak Norwegia posiadały wiele bardzo wartościowych talentów.

Jak przedstawia się sprawa obecnie? Nie ulega wątpliwości, że Norwegia nie zechce zadowolić się tylko sukcesami organizacyjnymi w Oslo. Ambicją całego narodu norweskiego jest wywalczenie przynajmniej kilku zaszczytnych miejsc w niektórych konkurencjach.

W chwili gdy słowa te dotrą do czytelnika, do Oslo przyjeżdżać zaczną pierwsze ekipy reprezentacyjne państw Europy. Nie będą one zbyt liczne, ale walka zapowiada się nadzwyczaj interesująco przy wyrównanym poziomie.

Na ustach wszystkich sportowców Europy znajduje się teraz Oslo. Wynikami mistrzostw Europy interesuje się i Ameryka, która przysłe do Oslo swoich obserwatorów. Polacy po mistrzostwach mają jeszcze startować w Szwecji: Göteborgu i Malmö.

Dziennikarze, którzy towarzyszą naszym reprezentantom, mieć będą skomplikowane zadanie. Czeka ich start nie łatwiejszy od startu naszych zawodników. Jeżeli korespondecje moje będą spóźnione, niech czytelnicy wybaczą. Nie będzie to moja wina, lecz trudności pocztowych, w jakich się znajduje jeszcze powojenna Europa. **Jarosław Niecięcki**

Wiadomości sportowe

Jesteśmy pod wrażeniem dwóch meczów piłkarskich z „Torpedo" drużyną, która przyjechała do Polski by nawiązać pierwsze stosunki sportowe między Polską a Związkiem Radzieckim. Pierwszy mecz odbył się w Warszawie przy 40 tysiącach publiczności. Wynik 1:1 nikogo nie krzywdzi, jednak drużyna Polski miała przewagę i przy odrobinie szczęścia powinna była odnieść zwycięstwo. Drugi mecz przy 30 tysiącach publiczności odbył się w Łodzi. Tym razem piłkarze polscy przegrali 1:3. Charakterystycznym jest, że obie bramki zarówno w Warszawie jak i w Łodzi strzelił Stanisław Baran, będąc w chwili obecnej jednym z najlepszych piłkarzy polskich. Baran jest tym inteligentnym sportowcem, który przy swojej wspaniałej technice ma nadzwyczajną ambicję i subtelne wyczucie każdej nadarzającej się do wykorzystania sytuacji pod bramką przeciwnika.

Piłkarze „Torpedo" chociaż ustępują drużynie „Dynamo", to jednak w rozgrywkach lokalnych mają na swoim koncie zwycięstwo nad „Dynamem".

Drugą wizytą piłkarzy zagranicznych w Polsce był występ drużyny CAFC z Pragi Czeskiej. Klub ten obchodzi jubileusz ćwierćwiecza swego istnienia. Czesi w Polsce zremisowali w Lublinie 1:1, w Radomiu 2:2, ale wygrali w Lesznie 2:1 i w Ostrowiu 1:0. Natomiast w Łodzi ulegli drużynie kombinowanej złożonej z graczy ŁKS i ZZK 3:2. Gra Czechów na ogół podobała się. Wyróżnił się przede wszystkim fenomenalny bramkarz Jonak. Szkoda, że w drużynie łódzkiej nie grał przemęczony meczami z „Torpedo" Baran. Wynik byłby wówczas niewątpliwie wyższy.

W Łodzi nastąpiło uroczyste otwarcie toru kolarskiego w Helenowie zawodami o drużynowe mistrzostwo Polski. Tytuł mistrza na 1946 rok zdobyli kolarze z RKS Legia z Krakowa w składzie Kupczak, Wandor, Dąbrowiecki i Gomułka. Dystans wynosił 10 okrążeń toru (4 km). Krakowianie uzyskali czas 5.52.2 sek. Drugie miejsce zajęli zawodnicy „Stomilu" z Poznania przed „Tramwajarzami" z Łodzi.

W Warszawie przeprowadzono ostatnie eliminacje przed wyjazdem do Oslo. Na uwagę zasługują wyniki Rutkowskiego w biegu na 100 m. — 10,9 Piaskowego na 400 m. — 51,8 oraz Moderówny, która pokonała w biegu na 100 m. swoją najgroźniejszą rywalkę Hejducką w czasie 13,2 sek. Wajsówna w dysku uzyskała doskonały wynik 41.15. Wynik ten stawia ją jak i przed wojną na czele dyskobolek świata.

Zarząd P.Z.L.A. ustalił następujący skład reprezentacji Polski na mistrzostwa Europy w Oslo:

Kobiety:

100 m — Walasiewiczówna, Moderówna i Hejducka,

200 m — Walasiewiczówna, Moderówna, i Słomczewska,

80 m pł. — Walasiewiczówna.

Sztafeta 4×100 — Hejducka, Moderówna, Słomczewska i Walasiewiczówna,

Kula — Wajsówna, Kwaśniewska i Walasiewiczówna.

Dysk — Wajsówna i Dobrzańska,

Oszczep — Kwaśniewska i Stachowiczówna.

Mężczyźni:

100 i 200 m — Rutkowski,

400 m — Piaskowy,

Kula i dysk — Gierutto,

Dziesięciobój — Gierutto i Kuźmicki,

3000 m z przeszkodami — Świniarski.

II olimpiada sportowa wojsk lotniczych polskich odbywa się w Pruszkowie w dniach od 11—18 sierpnia b.r. Wyniki podamy w następnym numerze.

PIŁKARZE RADZIECCY W POLSCE



Znana drużyna radziecka piłki nożnej „Torpedo", która rozegrała dwa mecze z naszymi piłkarzami w Warszawie i Łodzi z wynikiem 1:1 i 3:1 na rzecz „Torpedo".

EGZAMIN CHLEBOWY

Wprowadzenie w Wielkiej Brytanii racjonowania chleba wywołało przemijającą zresztą histerię. Dzienniki angielskie pełne były zastrzeżeń co do proponowanego systemu rozdziału, będących odbiciem zamieszania w aparacie handlowym, nieprzygotowanym do przeprowadzenia reglamentacji.

Ciekawe jest właśnie na tym tle, jak do sprzedaży chleba na kartki ustosunkowały się różne formy inicjatywy gospodarczej. Piekarze i kupcy prywatni w szeregu miast Anglii, jak Bristol, Newcastle, Both i inne odmówili podjęcia się sprzedaży chleba kartkowego. Natomiast spółdzielnie spożywców w całej Wielkiej Brytanii nie tylko natychmiast zgłosiły swój udział, ale równocześnie opracowały własny system rozdziału, zmierzający do jak największego ułatwiania konsumentom odbioru chleba kartkowego. Co więcej przeprowadziły go z pełnym sukcesem, co wyraziło się w natychmiastowym przyroście członków do Spółdzielni.

Widać z tego, że nie tylko u nas, ale i w Wielkiej Brytanii, posiadającej świetnie zorganizowany i zdyscyplinowany prywatny aparat wymiany towarowej - spółdzielczość lepiej zdaje egzamin, gdy w grę wchodzą nie interesy osobiste, pod których hasłem działa tzw. inicjatywa prywatna, lecz interes ogólny, interes społeczny.

Z Polski i ze świata

Konferencja Pokojowa w Paryżu zatwierdziła regulamin obrad, opracowany przez komisję regulaminową i przystąpiła do przedyskutowania traktatów pokojowych z b. satelitami Niemiec. Jak wskazują pierwsze doniesienie z Paryża — projekty traktatów opracowane przez Wielką Czwórkę napotykają na poważne sprzeciwy Włoch, Węgier i Finlandii, których przedstawiciele wręcz oświadczają, iż nie podpiszą traktatów, o ile nie zostaną one złagodzone. Węgry żądają specjalnej klauzuli ochrony praw mniejszości, obawiając się wysiedlenia około 1,5 miliona Węgrów z Rumunii i około 200.000 z Czechosłowacji, których kraj macierzysty nie mógłby w obecnych warunkach wyżywić. Włochy nie zgadzają się na wysokość odszkodowań oraz na projekt rozwiązania sprawy Triestu i Krainy Julijskiej. Finlandia również oponuje przeciwko wysokości odszkodowań. Bułgaria domaga się od Grecji — Tracji Zachodniej, zastanawiającej jej dostęp do morza Egejskiego. Rumunia zgłasza pretensje terytorialne do Węgier itp. W tych warunkach ustalenie traktatów pokojowych będzie wymagało wiele czasu. Najtrudniejszą do rozwiązania wydaje się być sprawa Triestu. Według ostatnich wiadomości, prace Konferencji ulegną przerwie w połowie września b. r. na okres prac Organizacji Narodów Zjednoczonych i wznowione zostaną w listopadzie.

●

Na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dniu 31 b. m. przedłożony zostanie projekt ordynacji wyborczej i terminu wyborów do Sejmu.

●

Polsko — Czechosłowacki układ przyjaźni i pomocy omawiany jest w Paryżu przez min. Rzymowskiego z min. praw zagranicznych Czechosłowacji Massarykiem. Rokowania mają podobno przebieg pomyślny, a ostateczny tekst układu ma być podpisany w Warszawie.

Pierwszy sezon

Państwowego Teatru Polskiego

W rocznicę oswobodzenia Warszawy odbyło się otwarcie Teatru przedstawieniem „Lilli Wenedy".

Naczelnym obowiązkiem pierwszego Państwowego Teatru w Polsce jest osiągnięcie najwyższego poziomu artystycznego oraz upowszechnienie w najszerszej skali sztuki teatralnej.

Czy Teatr spełnił ten obowiązek, czy wywiązał się ze swych zadań? Pytanie to nasuwa się z natury rzeczy po zamknięciu I-go sezonu. Jakie wyniki i jaki bilans? Odpowiedzi na te pytania nie można ująć w jednym pozytywnym czy negatywnym zdaniu. Zestawić trzeba sprawiedliwie i obiektywnie pochwały i nagany. Ocena działalności teatru oprzeć się musi na repertuarze i wykonaniu artystycznym. Poza tym należy jeszcze uwzględnić reakcję i opinię publiczności. Bo teatr to przecież scena i — widownia.

Na uroczystość otwarcia — jest to niewątpliwie doniosłym wydarzeniem w historii teatru — wybrano misterium narodowe Słowackiego z legendarnych czasów, tragedię romantyczną o podboju narodu, który uległ przemocy. Sztuka trudna zarówno dla aktorów jak i dla reżysera i dekoratora. Nadmierny na pojęcie współczesnego widza patos trzeba było umiejętnie stonować z pietyzmem dla charakteru sztuki. Trzeba było wynaleźć jednolity styl w grze aktorów i w reżyserii scen zbiorowych. Styl ten sharmonizować z plastyką sceniczną, z dekoracjami i kostiumami. To było zamiarem reżysera (J. Osterwy) i dekoratora (W. Borowskiego). Elementy, którymi posługiwał się Borowski, stanowiły kilkuplanowe kotary i dekoracje plastyczne, rzeźbiarsko ujęte, oraz monumentalne fragmenty architektoniczne. Uzyskał w ten sposób akordy barwne, w prowadzające nastrój w tragedii.

Zharmonizowanie wszystkich elementów scenicznych dało wynik artystyczny dużej miary.

Chociaż można mieć zastrzeżenia co do pewnych koncepcji scenicznych, jak i w ogóle do wyboru sztuki, nie dość przystępnej dla szerokiej masy publiczności, przyznać należy, że teatr tym przedstawieniem z wielkiego repertuaru dał dowód, iż pragnie spełniać swą misję kulturalną.

Czy szedł po tej linii przez cały sezon?

Z patosu romantycznego przeszedł do dydaktycznej satyry Korzeniowskiego „Majątek albo Imię". Niewątpliwie „postępowość i nowoczesność poglądów autora", jak i jego społeczne nastawienie są z dzisiejszego punktu widzenia bardzo interesujące. Wydaje się jednak, że raczej dla historyka literatury czy teatru, nie dla widza. Argumentem, który możnaby przytoczyć w tym wypadku, jest głęboki sentyment dla Warszawy. Wśród ruin i zgliszcz odżył na scenie Ogród Saski, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, i Kolumna Zygmunta, i kościół Świętego Krzyża. Wzruszenie opanowało publiczność. Na chwilę ożyła przed oczami widzów dawna, stara Warszawa. Inscenizacja dyr. Szyfmana i dekoracje oraz kostiumy T. Gronowskiego odtworzyły styl epoki w najlepszym smaku, ożywiły atmosferę owych czasów.

W stylowych kostiumach i w stylowym otoczeniu zstąpiły postacie komedii z portretów i żyły prawdziwym życiem. Szczerość i prostota w grze aktorów bez szablonu teatralnego, odsunęły uwagę od błędów psychologicznych autora i wad dramatycznej budowy sztuki. A co najważniejsze: wiersz — a przecież jest to tylko niewybredny wiersz Korzeniowskiego — płynął potoczyście. z wdziękiem. I to właśnie jest istotną zaletą, ożywczą barwą tej spłowiałej komedii, mimo wszystko pełnej wdzięku.

Na zarzuty, że nie wystawia się sztuk współczesnych, zarzuty w zasadzie niewątpliwie słuszne — odpowiedział Teatr Polski wystawieniem „Papugi" Kazimierza Korcellego. Sztuka wywołała ostre polemiki, krytyki i dyskusje. To najlepsza reklama. Zamiarem autora było ośmieszenie okresu sprzed wojny, wykazanie tępoty i zgnilizny faszyzmu. „Komedia z czasów dawniejszych, sprzed 1939 r." — brzmi tytuł. W ścisłym tego słowa znaczeniu nie jest to komedia, brak jej podstawowych elementów. Jest to raczej satyra, składająca się z dwóch aktów i z symbolicznie ujętego trzeciego aktu.

Pominąwszy wady strukturalne i wynikające stąd zamglenia treści, sztuka jest interesująca, wyczuwa się nerw sceniczny autora, uderza nowe oryginalne podejście do sceny.

Po tej jedynej współczesnej sztuce nastąpił znowu nawrót do starej polskiej komedii. „Grube Ryby" Bałuckiego, (reżyseria L. Solskiego, dekoracje i kostiumy M. Nalewajskiego). Nie szło oczywiście o „Grube Ryby". Wszyscy je znają, wszyscy je widzieli. A kto nie widział w dobrej obsadzie, nie wiele stracił, bo tylko gra tu jest ważna, a nie komedia. Szło oczywiście o Ludwika Solskiego, nestora i mistrza sceny polskiej. Szło o to, aby i Warszawa mogła uczcić jubilata. I czciła go co wieczór owacjami, składała hołdy wielkiej sztuce młodzieńczego nestora.

Wprawdzie sezon był skrócony, bo rozpoczął się dopiero 17-go stycznia, nie usprawiedliwia to jednak całkowicie repertuaru Teatru Polskiego. Nie spełnił nadziei w nim pokładanych. Niewątpliwie należy uwzględnić ciężkie warunki i olbrzymie trudności, które trzeba było pokonać. Nie pomniejszając też w niczym wielkich zasług dyr. Szyfmana i niepożytej jego energii, której zawdzięczamy w ogóle odbudowę i powstanie Teatru, tej oazy wśród rumowisk i gruzów, nie można bez zastrzeżeń pogodzić się z linią repertuaru i z małą ilością sztuk, wystawionych na przestrzeni 6 i pół miesiąca.

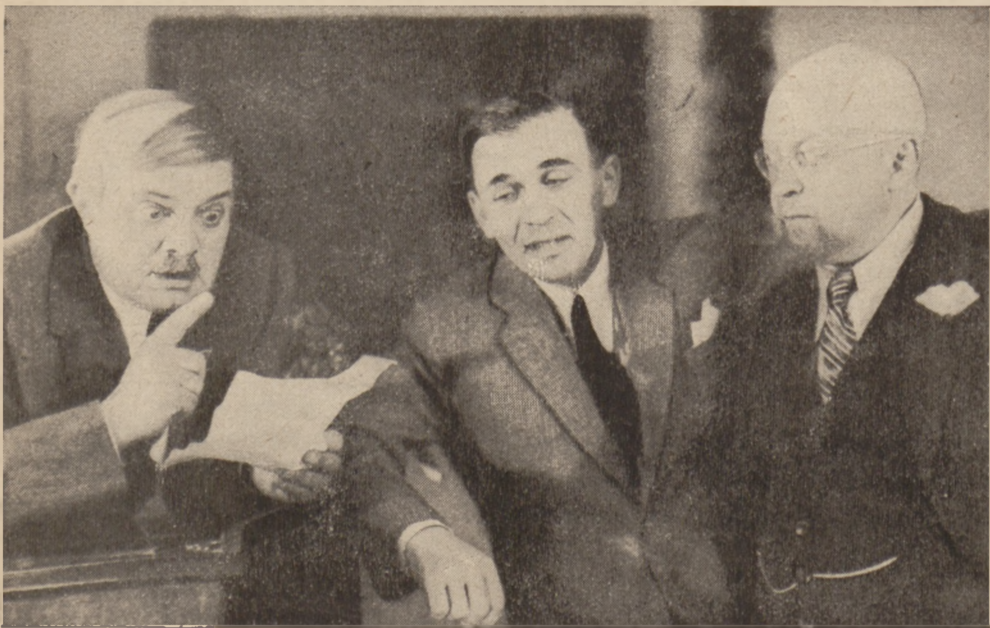
Fakt, że przeszło 100.000 widzów z Warszawy i z poza Warszawy uczestniczyło w przedstawieniach „Lilli Wenedy" jest może argumentem dla upowszechnienia kultury teatralnej,nie jest to jednak argumentem dla linii repertuaru. Bo przecież wielkie powodzenie sztuki — grać tak długo aż będzie „wygrana" — nie jest dzisiaj wogóle dostatecznym argumentem. Publiczność, szczególnie warszawska publiczność, pozbawiona przez 6 lat teatru, tak jest spragniona widowisk teatralnych, że zapełnia widownię po brzegi na każdym przedstawieniu. Każda sztuka ciągnie ją siłą magiczną do teatru. To należy wyzyskać. I dlatego właśnie należy domagać się od Państwowego Teatru Polskiego wielkiego repertuaru i sztuk współczesnych. Jedna tragedia Słowackiego i jedna komedia Korcellego w ciągu całego sezonu — to za mało.

Miejmy nadzieję, że w przyszłym sezonie ujrzymy na tej pierwszej scenie państwowej w szerokiej skali sztuki klasyczne polskie i obce, że rozbrzmiewać będzie tu poezja romantyczna i neoromantyczna, że twórczość współczesna dojdzie do głosu i wykaże nowe talenty dramatyczne.

Dr. Aleksander Guttry



Solski w roli Ciaputkiewicza w „Grubych Rybach" Bałuckiego



Butkiewicz, Butrym i Chmurkowski w komedii „Papuga" Korcellego

Kronika Kulturalna

„ODRODZENIE" (Nr 30/87) w następujących słowach powitało ukazanie się „Tygodnia": „Jak gdyby konieczne było wydawanie jeszcze jednego periodyku nieokreślonego typu polityczno - społeczno - rozrywkowego, pojawiło się w Łodzi pod niewymienioną z nazwisk redakcją nowe pismo ilustrowane — „Tydzień".. Zapowiedź, że „Tydzień" będzie trybuną niezależnej opinii publicznej... to frazesy". A gdybyśmy tak zapytali, oddając pięknym za nadobne: czy wobec obfitości różnych Kuźnic, Arkon, Kamen, Żyć Literackich i tp., konieczne jest jeszcze wydawanie „Odrodzenia"? Ale nie zapytamy, zajmujemy bowiem to humanistyczne i tolerancyjne stanowisko, jakie pewien filozof ujął w słowach: „leben und leben lassen", to znaczy: żyć samemu i pozwolić żyć innym. Wszystko ma prawo do życia na tym najpiękniejszym ze światów, nawet najmniejsza muszka. Dlatego też cieszymy się, że „Odrodzenie" wychodzi i życzymy mu najpiękniejszego rozwoju.

UKAZAŁ SIĘ numer pierwszy miesięcznika p. t. „Listy Teatru", który będzie wychodzić w Krakowie na miejsce „Afisza Starego Teatru", doskonale redagowanego przez Wojciecha Natansona. „Listy Teatru" zawierają artykuły Jerzego Szaniawskiego, L. H. Morstina, Karola Adwentowicza, Wilhelma Szewczyka i Marii Rokoszowej, ankietę „Jak mówić wiersze" z odpowiedziami Stefana Flukowskiego i Wł. Dobrowolskiego oraz interesującą kronikę teatralną zagraniczną (Francja, Anglia, Ameryka i ZSRR) pióra Wojciecha Natansona i W. J. D. Wydawnictwa tego rodzaju są bardzo potrzebne, pogłębiają bowiem w Polsce kulturę teatralną. I „Listy Teatru" spełnią niewątpliwie swą rolę. Mamy tylko zastrzeżenia co do artykułu Karola Adwentowicza. Nie każdy wielki aktor może być pisarzem: „Uroczysko teatralnych czasów już w zaraniu naszej młodości spowiło nas i odurzyło swoim zapachem, mistyczną wonią niecodzienności, tęsknotą donkiszotowych walk, wyzwoliło z nas pragnienie czynu, ofiarnych zmagań na wzór oglądanych w teatrze bohaterskich postaci, walczących ze smokiem zła, ucisku i niewoli. Czar trwa..." Itede, itede. Takiego stylu nie możemy wybaczyć nawet Adwentowiczowi. Przed wojną, „Wiadomości Literackie" powiedziałyby o tym bez ogródek: ple, ple, ple.



Lindorfówna i Milecki w komedii „Majątek albo imię" Korzeniowskiego

ANTONI MALCZEWSKI

Antoni Malczewski (1793 — 1826), znakomity poeta polski, „auctor unius libri" — powieści poetyckiej „Maria" (r. 1825). Żołnierz napoleoński, zdobywca szczytu Mont-Blanc, towarzysz przygód Byrona w Wenecji, wędrownik po Europie, wyznawca Mesmera

MARJA

POWIESC UKRAINSKA

PRZEZ

ANTONIEGO MALCZESKIEGO



W WARSZAWIE

W DRUKARNI N. GLUCKSBERGA

KSIĘGARZA I TYPOGRAFA KRÓLEWSKIEGO UNIWERSYTETU

1825

Karta tytułowa 1-ego wyd. „Marii" z r. 1825.

i zapalony głosiciel jego nauki o leczeniu „magnetyzmem zwierzęcym", salonowiec i potrosze awanturnik, a pod koniec krótkiego życia samotniczy melancholik — Malczewski jest jedną z najbardziej oryginalnych, utalentowanych i bujnych postaci polskiego romantyzmu z okresu przedmickiewiczowskiego. Wielkość jego jako poety polegała na tym, że zrozumiał zasadniczą prawdę estetyczną, obcą na ogół jego czasom romantycznym, iż piękno można znaleźć nie tylko w górnych sferach, do których uciekał romantyzm, ale i w powszednim życiu. W roku bieżącym upływa 120 lat od jego śmierci.



Antoni Malczewski



Gmach „Scotland Yard'u" w Londynie

„SCOTLAND YARD"

Jeden z dziedzińców starej rezydencji królewskiej w Londynie (Whitehall Palace) nazywano „Scotland Yard", co znaczy „szkocki dziedziniec". W gmachu tym osiedliła się w 1842 r. Sekcja Wywiadowcza Głównej Kwatery Policji londyńskiej, i nazwa gmachu rozciągnięta została na tę właśnie sekcję i przyjęta przez ogół, a następnie przez londyńską Komendę Policji. Nazwa ta tak dalece skojarzyła się w pojęciu społeczeństwa angielskiego z policją londyńską, że kiedy Kwatera Główna przeniesiona została w 1890 r. do obszerniejszych pomieszczeń w pobliżu miasta Westminsterskiego — zabrała ze sobą określenie „Scotland Yard". Obecnie „Scotland Yard znany jest na całym świecie nie tylko dzięki swym wspaniałym osiągnięciom w dziedzinie zwalczania przestępczości, lecz głównie dzięki powieściom kryminalnym Wallace'a, Conan Doyle'a, i innych, których dzieła przetłumaczone na wszystkie niemal języki — pasjonują amatorów tego rodzaju literatury.

W ciągu przeszło stuletniej działalności „Scotland Yard" zgromadził ogromne zbiory: narzędzi, materiałów, dokumentów, fotografii, odcisków itp., toteż dziś posiada największe w świecie zbiory tego rodzaju, np. samych odcisków palców zawiera około 800.000 szt.

Policja angielska rozporządzając ogromnymi sumami, dobrze wynagradza swych pracowników, co w dużej mierze wpływa na osiągane sukcesy w wykrywaniu przestępców i zbrodni.

Albumy przestępców, odciski daktyloskopijne, dokładne charakterystyki przestępców, ich sposoby działania i t. p. oraz liczny aparat wywiadowczy przyczyniają się do pozytywnego wyniku prac „Scotland Yardu". Tak np. w 1939 r. na 1716 większych zbrodni wykryto sprawców w ciągu doby w 726 sprawach, dzięki posiadanym odciskom daktyloskopijnym. „Scotland Yard" wydaje ilustrowany dziennik, w którym podaje ciekawsze opisy swych prac. „Daily Scotland Yard" rozchodzi się w dużym nakładzie nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i w Irlandii i w całym Imperium Brytyjskim. Z tych to dzienników czerpali i czerpią materiał do swych powieści kryminalnych — autorzy angielscy.

Ostatnia wojna wzmogła fale przestępczości w Anglii. Procent wykrywanych przestępstw spadł, co „Scotland Yard" tłumaczy tym, że wiele z nich popełniają liczni w Anglii przybysze i emigranci z różnych krajów, którzy posługują się swoistymi metodami działania, przysparzając policji angielskiej wiele kłopotów w wykrywaniu ich. Z tego też powodu w Izbie Gmin wysunięto szereg zarzutów pod adresem „Scotland Yardu". W konsekwencji przy omawianiu budżetu Izba zwiększyła kredyty dla policji.

Nie należy utożsamiać „Scotland Yardu, z „Intelligence Service", który jest angielską policją polityczną.



Sir Philip Game, obecny komisarz „Scotland Yard'u"



Identyfikowanie odcisku palca, w wypadku poważniejszego przestępstwa, przy użyciu projektora

(Zdjęcia British Photo)

Kluska i makaron

Podrywiał z grubej kluski raz
włoski makaron:
— „Ty jesteś prosta dziewka, ja—
wytworny baron!"
— „Cóż z tego" — rzekła kluska—
„żeś smukły, nietłusty
I figurę masz zgrabną, kiedyś wewnątrz — pusty!"

Miotła

Nowa miotła papiery pędząc po podłodze
Swą rolą czyściciełki pyszniła się srodze.
— „Czekaj!" — rzekły papiery —
„skończy się los świetny,
Gdy się zedrzesz i ciebie wyrzucą
na śmietnik!"

Kajetan Szalej

Powrót bluzki

Bluzki znów stają się modne za granicą. Niewątpliwie wpłynęły na to ograniczenia na materiały, wprowadzone w wielu krajach europejskich.

Ale nie są to już bluzki skromne, gładkie, jakie nosiły panie przed dziesięciu laty. Najnowsze modele bluzek podzielić możemy na trzy rodzaje. Do pierwszego zaliczyć należy bluzki stanowiące kompletne połączenie ze spódniczką, dobrane w kolorze, przy czym tak wykończone, że sprawiają wrażenie jednolitej sukni. Drugi rodzaj stanowią bluzki z długimi lub krótkimi rękawami, często skrojone podobnie jak górna część sukni. Mogą być przybrane skromnie guziczkami, lub mieć bardziej wykwintny przód, albo nawet zakończenie szarfą.

Jako wieczorowa bluzka, lansowane są modele ze skromną linią karczku i krótkimi rękawami, albo z obszyciem z cekinów, paciorków lub haftem. Na bardziej uroczyste i oficjalne przyjęcie — bluzka może być wykrojona z przodu nisko i mieć krótkie rękawki. Modne są również do bluzek długie rękawiczki. Zarówno bluzki dzienne jak i wieczorowe odznaczają się piękną ręczną pracą, materiałem, żabotem, haftem itp. Bluzka wieczorowa ma teraz większe znaczenie dla pań, niż to miało miejsce kiedyś. Ranne bluzki są przeważnie gładkie, ale mogą być i haftowane. Na bardziej oficjalne przyjęcia mogą być przybrane maleńkimi cekinami lub w inny sposób, zależnie od zamożności.

Podajmy naszym elegantkom szereg najnowszych modeli londyńskich.

Rys. 1. Wieczorowa bluzka z białej crepe (typowa dla haftowanych bluzek). Ma głęboką okrężną taśmę ze złotego haftu.

Rys. 2. Ciemno-niebieska bluzka z crepe ze skromnym stanikiem, łagodnie drapowana w płaskie fałdy. Szerokość ramion jest uwydatniona przez łuki z samej crepe. (Ten rodzaj bluzki nosi nazwę „duma Londynu").

Rys. 3. Poczwórnie uwarstwowiony rękaw z crepe z meszkiem.

Rys. 4. Bluzka z delikatnej niebieskiej crepe z meszkiem z koszulowym kołnierzykiem i fałdami na kieszeni. Kołnierzyk, ramiona i rękawy mogą być pocentkowane złotymi cekinkami.

Rys. 5. Bluzka z białej wełnianej georgette'y. Stanik zebrany w płaski węzeł z tego samego materiału, rękawy pełne, fałdowane. Guziki bluzki, idące ku dołowi pleców, delikatne — kryształowe.



(British Photo)

Czy wiecie, że...

Żadna jarzyna tak nie odyma, jak miłość własna.

Kruk żyje długo, choć kradnie, a baranek i wełną się nie okupi.

Lenistwo jest głupstwem ciała, a głupstwo lenistwem duszy.

Kto chce żyć spokojnie w małżeństwie, niech się lepiej nie żeni.

Mąż jest zawsze panem domu, szczególnie, kiedy żona wyjedzie.

Momus

CZY MASZ POCZUCIE HUMORU?

Weź ołówek i obliczaj w ten sposób: „nie" równa się 0; „czasami", albo „to zależy" równa się 1; „tak" — 2. Dodaj otrzymane liczby a otrzymasz sumę.

1. Czy się śmiejesz, gdy sam jesteś przedmiotem żartu?
2. Czy styl pompatyczny pobudza cię raczej do wesołości, niż by cię miał irytować?
3. Czy jesteś zdolny przywrócić humor przyjacielowi, gdy ten jest przygnębiony?
4. Czy masz jakiegoś ulubieńca wśród pisarzów czy aktorów, którego umysłowość pociąga cię żywo?
5. Czyś opowiadał ludziom takie wypadki ze swego życia, z których by wynikało, że i ty mogłeś popełniać niedorzeczności?
6. Czy uważasz, że wesołość i śmiech innych są zaraźliwe?
7. Czy jesteś zdolny powściągać swe złośliwości i sarkastyczny humor?
8. Czy w sytuacji napiętej umiesz się zdobyć na słówko, które by ją rozładowało i rozweseliło każdego?
9. Gdy wszystko się źle układa, czy mimo to umiesz dostrzec zabawną stronę życia?
10. Czy cenisz zabawne opowiadania innych i dowcipne rozmowy?

Jeśli suma, którą otrzymasz, wynosi 12 i więcej, świadczy to, że posiadasz doskonałe poczucie humoru. Jeśli się będzie wahała między 6 a 11, jesteś zdolny do śmiechu pod warunkiem, że żart nie dotyka ciebie zbyt osobiście. Jeśli otrzymasz mniej niż 6, jesteś być może pożądanym partnerem w towarzystwie, ale w życiu prywatnym jesteś zapewne trochę nudziarzem, tetrykiem i mantyką.

Skleroza

ZROZUMIELI

Komisja Specjalna dla analizy central zbytu rozesłała do wszystkich zjednoczeń przemysłu i central zbytu ankietę zawierającą 44 punkty. Punkt 10 ankiety brzmiał:

10. Wyrysować dokładny schemat organizacji wewnętrznej Centrali Zbytu (Zjednoczenia Przemysłu z Wydziałem Zbytu) z włączeniem organów tego rodzaju, jak biura sprzedaży, hurtownie własne, magazyny. Uzasadnić przyjęcie istniejącej formy organizacji wewnętrznej z punktu widzenia celowości i sprawności pracy."

Od Zjednoczenia Przemysłu Obrabiarkowego w Łodzi nadeszła następująca odpowiedź: Zjednoczenie Przemysłu Obrabiarkowego

Grupa precyzyjno-optyczna

Łódź, ul. Wigury 21

tel. Nr. 160-48

Ad. 10. Wydział sprzedaży zajmuje jedną salę przy Zjednoczeniu, dwa niewielkie magazyny obok oraz większy magazyn nad biurem.

Pieczęć

Zjednoczenie Przemysłu Obrabiarkowego

Podpis nieczytelny

Od i do Redakcji

P. Mieczysław Borsukiewicz. Wierszy mamy nadmiar. Prosimy o prozę: artykuł aktualny, reportaż, krytyka, felieton — a wszystko zwięźle, niedługie (na 100 wierszy) i treściwe, możliwie ze zdjęciami.

P. Wiesław Stradomski w Starogardzie. Prosimy o więcej próbek Pańskich felietonów, pisanych śmielej, żywiej i z większym zacięciem.

P. St. Machalewski w Łodzi. Wiersz o Warszawie jest spóźniony, numer bowiem, poświęcony Powstaniu Warszawskiemu, już wydaliśmy.

P. Widźkowski w Warszawie. Listy, zgodnie z życzeniem Pana, doręczyliśmy.

P. Włodzimierz Burakowski w Warszawie. List wysłemy i zdjęcie.

P. Janina Augusciak w Warszawie. Z chwilą uzyskania wiadomości zawiadomimy Panią listownie.

P. Andrzej w Częstochowie. Nadesłane prace przekazaliśmy kierownikowi literackiemu. O decyzji zawiadomimy.

P. Audrey Murphy. Z chwilą uzyskania dokładnych wiadomości zawiadomimy Panią.

P. Wiesław Wysocki w Warszawie. Za gratulacje dziękujemy. Żądane odbitki po wykonaniu prześlemy pocztą.

P. J. W. w Gdańsku. Za słowa uznania dziękujemy.

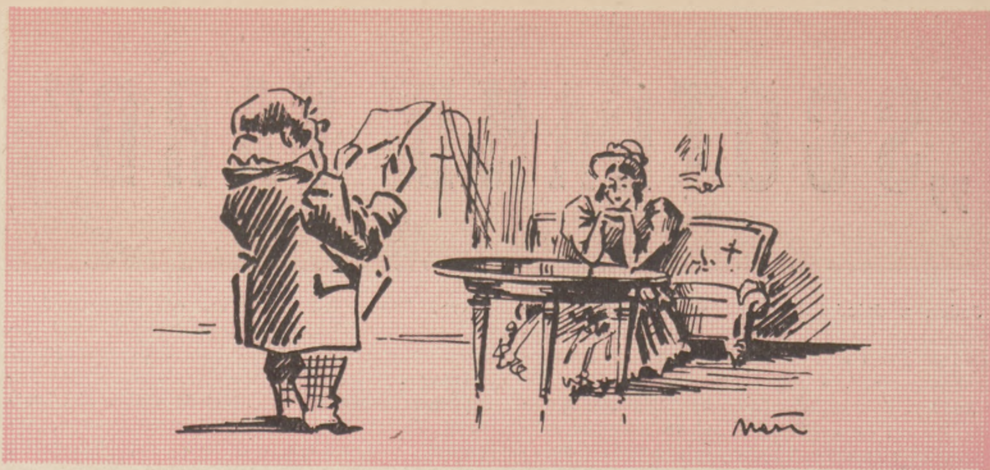
P. S. Kowalski w Gliwicach. Żądane numery wysyłamy. Dziękujemy za uznanie.

P. W. Kowalski w Lublinie. Sprawę poruszoną przez Pana omówimy przy najbliższej okazji.

P. Maria Całkówna w Warszawie. Dziękujemy. Wykorzystamy.

P. Grzelda Władysław w Cieszynie. List doręczyliśmy p. red. Thenowi.

Zw. Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Okręgu Pomorskiego w Toruniu. W sprawie „Instytutu Badania Czytelnictwa" prosimy porozumieć się z prof. Elle — Łódź, ul. Zawadzka 1, Wydział prasowy „Społem". Egzemplarze dla „Życia Szkoły" będziemy wysyłali.



Anegdoty historyczne

GRAFOLOG

Balzac miał swoją słabostkę: zdawało mu się, że jest znakomitym, nieomylnym grafologiem. Pewnego razu jego znajoma przyniosła mu zeszyt szkolny małego chłopca.

— Mistrzu — rzekła: — czy mógłby mi pan powiedzieć, co z tego chłopca wyrośnie?

Ze zmarszczonymi brwiami Balzac długo badał pismo.

— Czy pani jest matką chłopca — zapytał: — może jego krewną?

— Bynajmniej. Jestem dlań zupełnie obca.

— W takim razie powiem pani prawdę. Nic z niego nie będzie. Wyrośnie na skończonego osła.

— Mistrzu! — zawołała znajoma: — Jakże to? Nie poznaje pan swego własnego zeszytu szkolnego?

Historia nie przekazała nam odpowiedzi Balzaca.

ENRICO CARUSO

w 25 rocznicę zgonu

Dwóch było w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia wielkich śpiewaków: **Caruso i Szaliapin!** I rzecz dziwna — urodzili się oni obydwaj tego samego dnia



Płaskorzeźba wykonana przez Carusa, przedstawiająca go w roli Eleazara

25 lutego 1873 r. Szaliapin w Kazaniu, a Enrico Caruso w Neapolu. Obecnie mija 25-ta rocznica zgonu Carusa (2.VIII.1921).

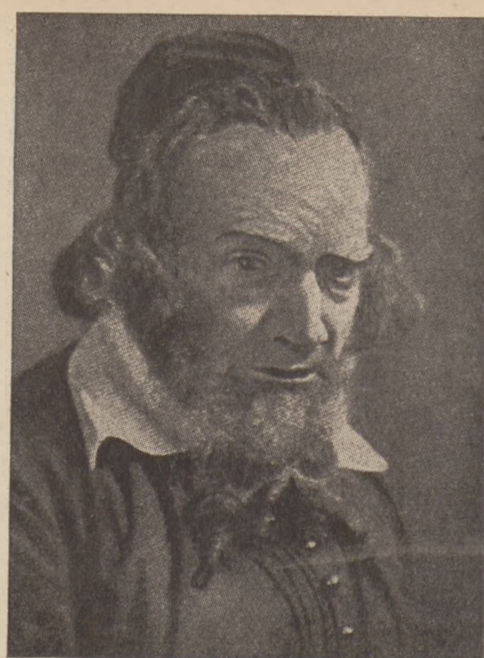
Już to samo, że Caruso urodził się w Neapolu predystynowało go na śpiewaka. W 10-ym roku życia mały Enrico śpiewa w kościelnym chórze swojej parafii, zwracając już wówczas uwagę na swój wyjątkowy głos...

Liczni doradcy, a takich nigdzie nie brak namawiali ojca Caruso, aby go oddał na naukę śpiewu. Należy przy tym pamiętać, że we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie, Neapolu i Mediolanie roi się od najrozmaitszych „maestro", z których jednak zaledwie nikły procent przypada na uczciwych pedagogów wokalnych; reszta to przysłowiowi wydrwigrosze, żerujący na nieświadomości i snobiźmie adeptów sztuki. Sam Caruso po latach wielu tak napisał: „zamiast słuchać t. zw. dobrych rad moich nauczycieli śpiewu, robiłem wszystko na odwrót. W ten sposób np. górny rejestr zawdzięczam raczej sobie samemu, a pomocną mi była w tym względzie partia Radamesa w „Aidzie" Verdi'ego, przy której to partii mogłem rozwinąć mój głos i mocno upozować wysokie C!"

Debiut odbył się w Neapolu, gdy Caruso liczył 22 lata. Już w 3 lata później śpiewa premierę opery Umberto Giordano — „Fedora" (partię Lorisa) w Teatro Lirico w Mediolanie... Jeszcze co prawda w mediolańskiej „Scali", ale już w Mediolanie...

Dyrektorowie teatrów operowych oraz liczni impresario proponują mu ponętne kontrakty, i propozycje gościnnych występów w największych miastach europejskich. W 1909 roku udaje się Caruso po raz pierwszy za Ocean. Ostatnie 16 lat życia dzieli pomiędzy Ameryką i Europą, t. zn. między N. Yorskim Metropolitain'em a różnymi scenami oper europejskich.

Każdą partię śpiewał w języku oryginału, a więc np. Fausta czy Don Jose'go w „Carmen" śpiewał po francusku, opery włoskie oczywiście po włosku, hiszpańskie po hiszpańsku i t. p. Angielskie pieśni śpiewał też w oryginale, a urocze piosenki neapolitańskie w tym samym narzeczu, którym lubił czasem mówić potocznie... Przeglądając skrupulatnie pełny wykaz kronikarski całej 26-cioletniej pracy artystycznej Carusa, nie spotykamy żadnych śladów, aby wielki ten artysta śpiewał w jakiejkolwiek operze niemieckiej lub też żeby znał język niemiecki.



Caruso w operze „Żydówka", wystawionej w Nowym Jorku w 1920 r.

Zapytany kiedyś: które z oper lubi najbardziej, odrzekł bez wahania: „Żydówkę" i „Pajace"...

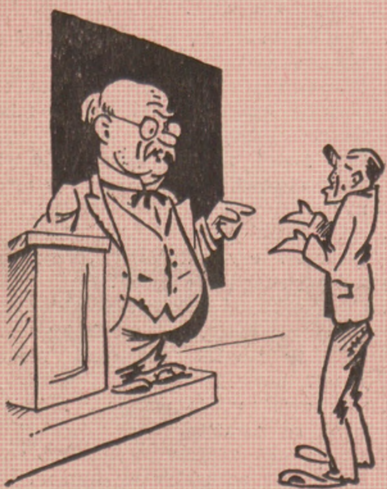
Głos Carusa, to rewelacja! Pisano o nim całe... poematy, a i w naszej poezji spotykamy wiersze Marii Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej w postaci cyklu liryk, objętych wspólnym tytułem **„Płyty Carusa"**.

Nie wszyscy wiedzą, że Caruso był nie tylko wielkim i sławnym śpiewakiem, ale również świetnym rysownikiem — karykaturzystą i utalentowanym rzeźbiarzem, a przede wszystkim wyjątkowo dobrym i szlachetnym człowiekiem. Pokaźną liczbę rysunków, a zwłaszcza karykatur, stanowią właściwie autokarykatury samego Carusa, lub też charakterystyczne podobizny jego otoczenia, a więc postaci przeważnie ze sfer artystycznych. Np. popularną była swego czasu karykatura p. t. „Puccini — z tyłu!" (z wykrzyknikiem w tytule!). Nie mniej zasługuje na uwagę portret własny Carusa, „zbudowany" przy pomocy liter maszynowego pisma. Miniatura zaiste oryginalna! Wspomnieć też wypada o ciekawym autoportrecie płaskorzeźbie w roli Eleazara z opery Halevy'ego „Żydówka". Obraz nosi datę 1920 r., czyli na rok przed śmiercią. Caruso żył zaledwie 48 lat.

Z najbardziej osobistych upodobań Carusa przeszły do szerszej wiadomości ogółu np. jego skłonności do kolekcjonowania najróżniejszych zegarów i zegarków. Caruso pozostawił żonie w testamencie milion dolarów jako rezultat długoletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pochowany został w pięknym mauzoleum w Neapolu. Jak każdy wielki śpiewak miał własnego akompaniatora; był nim pianista-kompozytor Salvatore Tucito, którego piosenki śpiewał chętnie w programach koncertowych.

Pisano o Caruso wiele — już za jego życia... i to w różnych językach europejskich.

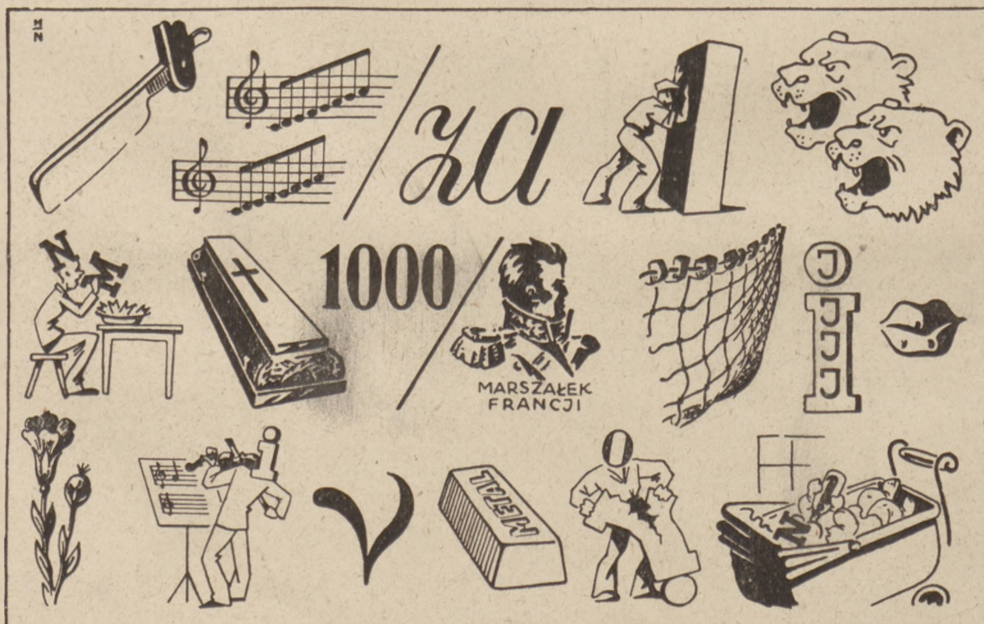
Bolesław Busiakiewicz



PROFESOR DO ASYSTENTA

Czy dużo słuchaczy jest na sali?
Asystent: Nie ma nikogo, panie profesorze.
Profesor: — Niech pan jeszcze raz policzy.

ROZPOCZYNAMY KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY



WARUNKI KONKURSU

W dniu dzisiejszym ogłaszamy konkurs na rebusy, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Za każdy prawidłowo rozwiązany rebus będzie przyznana pewna ilość punktów.

Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:
1 nagrodę — 1500 zł.
1 nagrodę — 1000 zł.
3 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 15 października b. r. do Redakcji „Tydzień", Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1.

Za rozwiązanie rebusu w Nr 6 przyznane będą 3 punkty.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01629